płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—28.II.1989 | 4

Fot. Wiktor Pawłowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— A nuż lód trzaśnie?!...

— Teraz będę się pewniej czuł na lodzie!

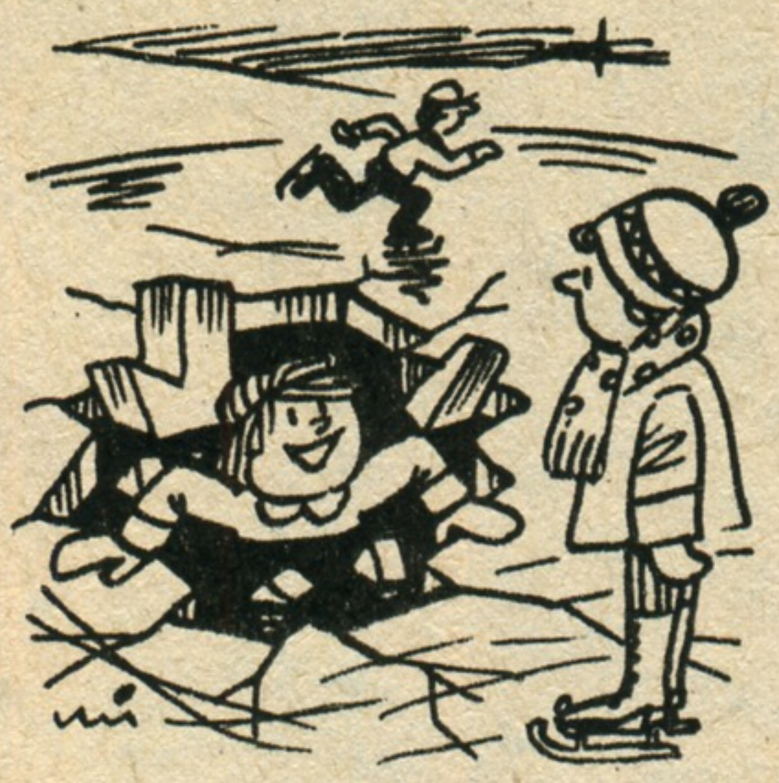

— Nic mi nie będzie, mam ciepłe skarpety!

A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE!

NA RATUSZU miasta Piaseczna, leżącego niedaleko Warszawy, widnieje półksiężyc, taki sam jak na sztandarach Turcji, Tunezji czy Pakistanu. Na pewno niewielu mieszkańców Piaseczna wie, dlaczego zdobi on budynek ratusza. Otóż, półksiężyc umieszczono na pamiątkę pobytu w tej miejscowości, w 1777 roku posła Sułtana tureckiego. Zamieszkał on w piaseczyńskim ratuszu czekając na uroczysty wjazd do Warszawy i audiencję u króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

●

NAJWIĘKSZY na świecie prom na poduszce powietrznej kursuje między Francją a Wielką Brytanią na kanale La Manche. Ten potężny statek wysokości 5-piętrowego budynku, rozwija prędkość 140 km na godzinę. Zabiera na pokład 400 pasażerów, 65 samochodów, 85 ton ładunku i 20 ton paliwa. Specjalne urządzenia zapewniają spokojną podróż promem nawet przy 4-metrowych falach.

●

W GORĄCYCH źródłach kalifornijskich, gdzie temperatura dochodzi do 52°C, żyje gatunek ryby zwanej „lucanią". Natomiast na Alasce i na Czukotce spotkać można inną rybę o nazwie „dallia", która ma zupełnie odmienne zwyczaje. Zimą wmarza w lód, a latem, kiedy lód roztaje, dallia ożywa i pływa sobie spokojnie w polarnych strumieniach.

●

W POBLIŻU miejscowości Teterów na terenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej znajduje się drogowskaz, na którym wyraźnie wypisano: „Krakow 29 km".

Nie chodzi tu jednak o nasz stary gród podwawelski. Po prostu taką samą nazwę ma miasteczko na terenie NRD. W pobliżu miasta jest też jezioro o tej samej nazwie.

●

PAPUGĘ można nauczyć mówić. Toteż w wielu krajach, a szczególnie w Australii, istnieją szkoły dla papug. Po sześciu tygodniach nauki papugi otrzymują dyplomy ukończenia ptasich studiów.

W ubiegłym roku jedną z takich ptasich szkół ukończyło 50 papug z wynikami bardzo dobrymi, 20 z ocenami dostatecznymi. Natomiast 3 papugi dyplomów nie otrzymały. Zdarza się też czasem, że niektóre uczennice-papugi są usuwane ze szkoły... za używanie brzydkich wyrazów.

Nasza okładka:

Sowa śnieżna z bałwankiem Lucynki Niezapominajki z Chwałkowa woj. leszczyńskie

Śnieżysko

Padało, padało
puszyste śnieżysko.
Na biało, na biało
zasypało wszystko.

Białe są huśtawki,
całe białe schody,
białe w parku ławki,
białe samochody.

Wysoko, wysoko
nad zielonym płotem
leci Biała Zima
białym samolotem.

Co tam teleferie,
co tam teleranki,
kiedy my wolimy
w śniegu przewracanki!

Wiwat, niech nam żyje
puszyste śnieżysko!
Ulepimy z niego
białe niedźwiedzisko!

Danuta Wawiłow
Rys. Irena Łakomiec-Kamińska

MOGĘ SPRÓBOWAĆ

Film był taki nudny, że jeszcze po wyjściu z kina szczęki nas bolały od ziewania.

— Chyba należy nam się teraz jakaś rozrywka — powiedział Grzesiek.

— No, jednak byliśmy w kinie...

— Ja mówię o rozrywce — powiedział Grzesiek.

— A masz jakiś nowy pomysł? — zapytałem i zerknąłem na zegarek.

Obiecałem mamie, że zaraz po kinie wrócę do domu.

Grzesiek zauważył moje zerknięcie.

— Boisz się, że mamusia da ci w skórę. — Popatrzył na mnie kpiąco. — No, trudno, maminsynku, jak musisz iść już do łóżeczka, to leć! Jakoś przeżyję to rozstanie.

— Nie muszę. Niczego nie muszę — powiedziałem. — No, więc co moglibyśmy robić?

— Moglibyśmy robić wiele rzeczy. Ale z tobą można się tylko grzecznie bawić w klocki, w berka, no, może jeszcze pograć w piłkę. A ja mam pomysł dla odważnych.

— Jestem odważny — zapewniłem go.

— To się jeszcze okaże. Na razie wiem, że jesteś posłuszny. Mamusia nie pozwala ci się ze mną spotykać, to się nie spotykamy.

— Przecież byliśmy razem w kinie.

— Ale twoja mama nie wie, że byłeś ze mną, prawda?

Była to prawda. Mama uprzedziła się do Grześka. Nie lubiła, kiedy się z nim spotykałem. Uważała, że on ma na mnie zły wpływ. Ale chyba wszystkie mamy uważają, że to koledzy psują ich dzieci.

— Czy to ważne? Gadaj, co to za pomysł?

— Miałbym ochotę na coś słodkiego. A ty?

— No, warto by sobie życie osłodzić... Tylko, że ja nie mam forsy... Dostałem tylko na bilet.

— A kto mówi o forsie. Masz dobrego kolegę, więc się nie musisz martwić o takie drobiazgi. Tu naprzeciwko są „Delikatesy". Skoczymy sobie na chwilę.

Weszliśmy do Samu, wzięliśmy koszyki i ruszyliśmy w głąb sklepu. Grzesiek myszkował wzrokiem po półkach, ja szedłem obojętnie; nie miałem przecież zamiaru niczego kupować.

W pewnej chwili z przerażeniem zauważyłem, że on wsunął do kieszeni paczkę rodzynków. Szybko ruszyłem w stronę wyjścia. Wołał za mną, żebym poczekał, ale ja mknąłem jak strzała. Postawiłem koszyk na miejsce i szybko wyszedłem ze sklepu.

Nie zdążyłem odejść daleko, kiedy drzwi Samu otworzyły się i wybiegł stamtąd starszy pan w białym fartuchu.

— Hej, hej! — zawołał. — Wróć no, tu, chłopcze na chwilę!

Zatrzymałem się, chociaż miałem wielką ochotę czmychnąć.

— Nie próbuj uciekać! — powiedział, jakby czytał moje myśli. — Twojego koleżkę już mamy. Teraz kolej na ciebie. Ładne rzeczy! — dodał. — Od małego już złodzieje.

— Nie jestem żadnym złodziejem — powiedziałem z oburzeniem.

— To się zaraz okaże.

We wnętrzu stał przy kasie Grzesiek, cały czerwony, i wyglądał, jakby miał się za chwilę rozbeczeć.

Kasjerka trzymała w ręku paczuszkę rodzynków i pokazywała ją wszystkim dokoła. Oczywiście, gapiów było sporo.

— Teraz ty wyjmij z kieszeni to, co ukradłeś — powiedziała do mnie surowo.

— Niczego nie ukradłem. Nie jestem złodziejem — zawołałem oburzony.

— Wyjmuj wszystko z kieszeni —

powiedział stanowczo mężczyzna, który mnie tu przyprowadził.

Opróżniłem obie kieszenie kurtki dziwiąc się, jak wiele różnych rzeczy się w nich mieściło. Potem powyjmowałem wszystko z kieszeni spodni. Też się zebrał mały stosik.

— No, ten jest w porządku — powiedział mężczyzna i spojrzał na mnie łagodniej. — Ale, niestety, kolega tutaj zostanie, aż się zgłosi po niego ojciec albo matka — powiedział surowo patrząc na Grześka.

— On nie ma ojca... — powiedziałem. — A jego mama jest w szpitalu.

Sam nie wiem, dlaczego tak powiedziałem.

— Biedne dziecko — użaliła się jakaś kobieta. — Zupełnie bez opieki, nic dziwnego, że mu różne głupoty przychodzą do głowy.

— To nie głupoty, tylko kradzież — powiedział surowo mężczyzna. Kasjerka kiwała potakująco głową.

— Niech mu pan daruje, chłopak ledwie żyje ze strachu — dodał ktoś inny.

— Tak, tak to jest bez matki i ojca... — mówili inni.

Mężczyzna zastanawiał się.

— Sam nie wiem, co z nim zrobić. Właściwie powinienem zawiadomić szkołę.

— On się bardzo dobrze uczy — powiedziałem, chociaż to także była nieprawda. Grzesiek zbierał dwóje za dwójami.

— No, masz szczęście, że cię kolega wybronił. I że się dobrze uczysz. Tym razem ci daruję. Ale pamiętaj!

Pogroził mu palcem.

Grzesiek wybąkał „dziękuję" i wyszliśmy.

Na ulicy powiedział:

— Wszystko przez ciebie. Stchórzyłeś! Uciekałeś z pustym koszykiem, aż się kurzyło! A przecież cię uprzedzałem, że ten numer będzie dla odważnych.

Zupełnie mnie zatkało...

Zostawiłem go samego i zacząłem szybko iść w stronę domu.

Wanda Osuchowska-Orłowska

Rys. Justyna Bednarska

KOLACJA Z BOA DUSICIELEM

— Dzień dobry! — powiedział Dima wchodząc na nasze podwórko w sobotnie popołudnie. Wiedziałem, że do nas przyjedzie na niedzielę. Od wczoraj pod moim łóżkiem stała jego walizka.

— Witaj! — odpowiedział tata i poklepał go po ramieniu. Oboje z Natašzą byliśmy tym zachwyceni.

Po chwili Dima, jak gdyby nigdy nic, skierował się w stronę rzeki, a ja już zrobiłem trzy albo cztery kroki za nim, kiedy nagle tata krzyknął:

— Dokąd to?

— Tam... — powiedziałem, wskazując ręką w stronę rzeki.

— Żadne „tam" — powiedział tata. — Tylko tu!... — wskazał ręką hamak, werandę i podwórko. — I żebyście przez cały czas byli na moich oczach.

Dima zawrócił i bez pośpiechu skierował się w stronę hamaka, a ja za nim, sadowiąc się na hamaku obok Dimy. No i dobrze... Bardzo dobrze!

— Koniec końców, w podróżach — powiedział cicho Dima — rzeczą ważną będzie umiejętność zachowania życia... Bo... jeżeli tam nie zachowamy swego życia, to po prostu nie będziemy mogli wrócić z podróży...

— Jeżeli chodzi o życie, to masz rację, Dima... Przecież tam w razie czegoś, pogotowia nie wezwiesz. Więc jak to zrobimy?

— Jak? Metodą Subangi.

— Któż to taki ten Subanga? — zapytałem Dimę.

— Indonezyjczyk z wyspy Flores. Nie słyszałeś o nim?

— Nie.

— To posłuchaj. — Dima wyjął z kieszeni kawałek papieru wycięty z gazety czy tygodnika... i zaczął czytać szeptem: „Subanga, mieszkaniec wyspy Flores, znalazł w lesie malutkiego pytona i postanowił go wyhodować. W tym celu razem z nim spał i jadł... Pyton wyrósł. Teraz jest to sześciometrowy wąż, wagi stu czterdziestu kilogramów. Za dnia wdrapuje się na kokosowe palmy i strząsa z nich orzechy, a w nocy na ziemi owija się dokoła śpiącego gospodarza, chroniąc jego życie i sen..." Rozumiesz?

— Oczywiście! Owija się! I strzeże! — odpowiedziałem.

— A więc — ciągnął Dima — rozumiesz, z czyją pomocą będziemy chronić swoje życie?

— Z pomocą... Subangi... — powiedziałem niepewnie.

— Dziś jeszcze zabierzemy się do zaprawy. Do tego... wychowywania...

— Kogo? — zapytałem. — Przecież nie mamy pytonów?...

— No — szepnął Dima. — Pytony nie pytony, ale też z rodziny pełzających...

Od tych złowieszczych słów Dimy moje czoło pokryło się zimnym potem. Przypomniałem sobie o tajemniczej walizce z plastelinowymi plombami. A więc tam były pytony! I ta walizka stoi pod moim łóżkiem!

— Nie bój się! — zaczął mnie uspokajać Dima — w walizce są węże. Zwyczajne węże. Cztery sztuki. Dwa węże podstawowe i dwa zapasowe... na wszelki wypadek...

— Ach, węże!... A jak będziemy je wychowywać?

— Na początek zjemy z nimi kolację — wyjaśnił Dima — później razem położymy się spać.

— Dziś na kolację są naleśniki z mięsem — powiedziałem. — Czy węże jedzą naleśniki?

— I one, i my będziemy dziś mieli mleko na kolację. — A teraz posłuchaj, co masz zrobić...

Wysłuchawszy instrukcji Dimy, pobiegłem na werandę, gdzie mama nakrywała stół do kolacji. Wydawało

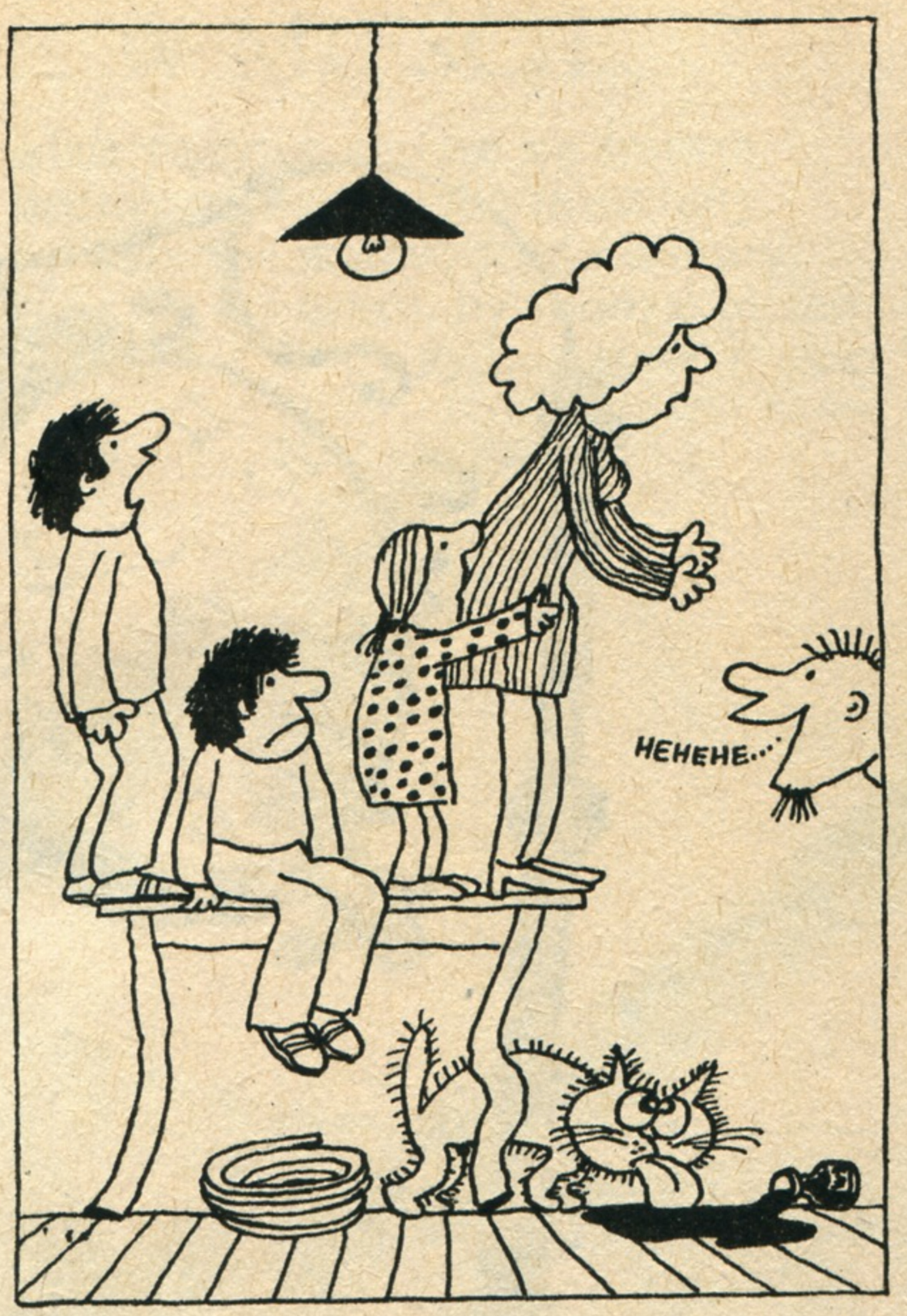

mi się, że tata i mama podejrzliwie potraktują prośbę o mleko i zamiar wcześniejszego pójścia spać. Mama tylko powiedziała:

— Dwie szklaneczki? Czemu tak mało, weźcie cztery.

A tata:

— Chcecie się zaraz położyć spać? Proszę bardzo. Im wcześniej, tym będzie lepiej dla was i dla nas...

Słyszałem, że przed śmiercią ludzie proszą o przebaczenie. Powiedziałem więc tylko:

— Tato i mamo, przebaczcie mnie i Dimie wszystkie nasze sprawki...

— Ja już o wszystkim zapomniałam — powiedziała mama.

— Nie gniewam się na was! — powiedział tata. — Głupstwo.

Wyciągnąłem spod łóżka swoją walizkę, w której była walizka Dimy z wężami, i powiedziałem:

— Najpierw przećwiczmy wszystko, co trzeba, ale bez węży... to znaczy mleko ze szklanek... A one z talerza... i na początek niech wąż śpi pod łóżkiem.

— Wiecznie masz jakieś wymówki — zasyczał na mnie Dima.

Potem wyjął swoją walizkę z mojej, zerwał plomby z plasteliny i powoli zaczął otwierać wieko walizki. Ja zacząłem zamykać oczy.

Nastąpiła taka pauza, iż pomyślałem, że z Dimą już koniec. Cicho, jak to bywa u węży. Teraz kolej na mnie...

— Dziwne — usłyszałem głos Dimy. — Gdzież one mogły się podziać?

Otworzyłem oczy. Dima siedział na krześle z pustą walizką na kolanach. Żadnych węży w niej nie było.

— Ciekawe — dziwił się Dima. Czyżby wypełzły przez to okienko?...

Przekręcił walizkę i wtedy zobaczyłem, że z boku był wycięty otwór zasłonięty cienką metalową siatką. Jeden róg siatki zagiął się do wnętrza i tamtędy prawdopodobnie wypełzły węże.

Dima obejrzał uważnie pokój i powiedział:

— Węże są gdzieś tutaj. Widzisz, że Waśka siedzi na szafie?

Kot Waśka rzeczywiście siedział na szafie i było widoczne, że czegoś się boi, bo sierść na karku jeżyła mu się ze strachu.

— Czuje węże — szepnął Dima.

— Waś, Waś, Waś — zawołałem kota, ale nawet na mnie nie spojrzał.

— A więc — powiedział Dima, wchodząc na stół — wypatrzymy je teraz z góry i złapiemy. Ty obserwuj prawą stronę pokoju, a ja lewą.

Weszliśmy na stół. Było cicho, nagle rozległ się szmer. Drzwi do mojego pokoju zaczęły się powolutku otwierać i na progu stanęła Nataszka.

— Czemu siedzicie na stole? — zapytała.

— Nataszka, nie denerwuj się — szepnąłem. — Chodzi o to, że Dima

Ciąg dalszy na str. 10

CO TO BĘDZIE ZA STO LAT

Tramwaj odjedzie do lamusa,
przepadnie słuch o autobusach
w miastach przyszłości...

Nowe pojawią się pojazdy,
każdy mieć będzie prawo gwiazdy
w miastach przyszłości...

Jedynie gdzieś, w składnicy złomu,
gdzie kroki brzmią jak wystrzał głucho,
badając przeszłość ktoś natrafi
na staromodny, śmieszny gruchot.

Rdzą zżarty tramwaj czy trolejbus
uwagę naukowca przykuł...
Po wielu dniach
rozwiązał rebus —
do czego służył ów wehikuł.

Napisał:
Wnosząc z licznych danych —
ten arcydziwny, stary grat
służył przez wiele, wiele lat
do spóźnień zorganizowanych...

Ryszard Marek Groński

... W MIEŚCIE,

gdzie wszyscy zawsze się śpieszą,
siedmiomilowe trzeba mieć buty,
by wszędzie zdążyć co do minuty.
Nikt nie ma czasu, by chodzić pieszo.

Ryszard Marek Groński
Rys. Jerzy Flisak

Ciąg dalszy ze str. 7

przyniósł węże, a one gdzieś się rozpełzły.

Nataszka piszcząc skoczyła z progu wprost do nas na stół. Był to zdumiewający rekord skoku.

— Obserwuj! — powiedziałem do Nataszki. — Jak zobaczysz węża, sygnalizuj!

— Dobrze! — zgodziła się przerażona Nataszka.

Siedzieliśmy na stole jak na wyspie. Za drzwiami znów dał się słyszeć szmer. Dima powiedział:

— Wydaje się, że pełzną.

Przygotował się do skoku. Ja również.

Na progu ukazała się mama. Przez jakiś czas patrzyła na nas nic nie rozumiejącymi oczami, a potem zapytała:

— Dlaczego siedzicie na stole?

— Mamusiu, tylko się nie przestrasz...

Nataszka nie zdążyła dokończyć zdania, a mama już miała strach w oczach.

— Musimy ci powiedzieć coś nieprzyjemnego.

— Zaraz — powiedziała mama — zaraz... najpierw powiedzcie mi, czy jesteście żywi i zdrowi?

— Tak. Tak!

— To najważniejsze... — powiedziała mama. — Pójdę i wezmę kropli walerianowych, a potem powiecie mi resztę.

Mama wróciła szybko z buteleczką w ręce. Pachniała z daleka walerianą.

— Teraz mówcie.

— Chodzi o to — zaczęła Nataszka — że Dima dla dobra całej ludzkości przyniósł do nas w walizce węże do treningu i wszystkie gdzieś się rozpełzły...

— Jak to „się rozpełzły”? — zapytała mama robiąc wielkie oczy.

— Po prostu rozpełzły się... — powtórzyła Nataszka i pokazała rękami, jak węże rozpełzły się po pokoju.

— Oj! — krzyknęła mama, wskakując do nas na stół i upuszczając buteleczkę z walerianą.

Kot Waśka, zwabiony zapachem waleriany, zeskoczył z szafy i łapczywie zaczął wylizywać podłogę. Drzwi do pokoju zaczęły się powoli otwierać.

— Węże — krzyknęła mama.

Ale to był tata. Wszedł ostrożnie do pokoju i, zobaczywszy wszystkich na stole, parsknął śmiechem.

— Nie ma tu wcale powodu do śmiechu — powiedziała mama. — Kiedy się wszystkiego dowiesz, zaczniesz płakać...

— A co się stało? — zapytał tata, robiąc poważną minę.

— A to, że w naszej willi pełzają żmije...

— Żmije?

— Nie żmije, a węże — poprawił mamę Dimka.

Tata zastanowił się:

— Jeżeli się rozpełzły — wyszeptał — to nie należy siedzieć na stole z założonymi rękami, ale łapać je.

Na palcach zbliżył się do naszego stołu i szepnął do mnie.

— Posuń się...

Posunąłem się, a tata wskoczył na stół tak energicznie, że o mało co mama nie spadła z drugiej strony.

Dima opuścił nogi i zaczął powoli złazić ze stołu.

— Dokąd? — zapytał tata, łapiąc go za rękę.

— Do węża!

— Siedź!

— Przecież wujek powiedział, żeby je łapać...

— Najpierw trzeba się upewnić, czy to rzeczywiście węże, a dopiero potem je łapać. Trzeba je zwabić! — oświadczył tata.

— Ciekawe, czym będziesz je wabić? — zapytała mama.

— Gwizdaniem... Kiedy byłem na

budowie w Indiach, widziałem, jak tam gwizdaniem zaklinali żmije.

— Zgadza się — powiedział Dima. — Żmije zawsze na gwizd wypełzają.

— A umiesz gwizdać? — zapytał tata.

— Umiem.

Dimka włożył do ust dwa palce i gwizdnął z całej siły. Gwizd był ostry i ogłuszający.

— Nie — odpowiedział tata — takim gwizdem można żmije tylko wystraszyć. I pokazał Dimie, jak należy delikatnie gwizdać.

— Niech wszyscy gwiżdżą! — zarządził.

Zaczęliśmy gwizdać. Tata i Dima gwizdali zupełnie przyzwoicie. A ja i Nataszka fałszowaliśmy. W dodatku do naszego chóru dołączył się pijany kot Waśka, który tymczasem zlizał z podłogi resztę waleriany.

— Stop! — powiedział tata. — Z tego nic nie będzie! Na taką kakofonię żadna żmija nie wypełznie.

Wszyscy umilkli. Tylko pijany od kropli walerianowych kot Waśka w dalszym ciągu coś miauczał swoim ochrypłym głosem.

— Idź precz! — powiedział tata do kota Waśki. — A psik!

— Niepojęte! — szepnęła mama. — Dlaczego te węże nie wypełzają?

— Niech wszyscy umilkną — orzekł tata. — Sam będę gwizdać...

Właśnie w tym czasie w głębokiej ciszy rozległ się szmer za drzwiami. Wszyscy wytężyli słuch. Szmer przybliżał się.

— Pełzną — szepnął tata. — Pełzną...

Gwizdał tak cienko i delikatnie, jakby grał na flecie. Zawtórowaliśmy mu. A szmer w tym czasie ciągle się przybliżał. Drzwi powoli się otworzy-

Ciąg dalszy na str. 14

FOTO zagadka

CO TO JEST?

Kto nie zgadnie — znajdzie odpowiedź na str. 30

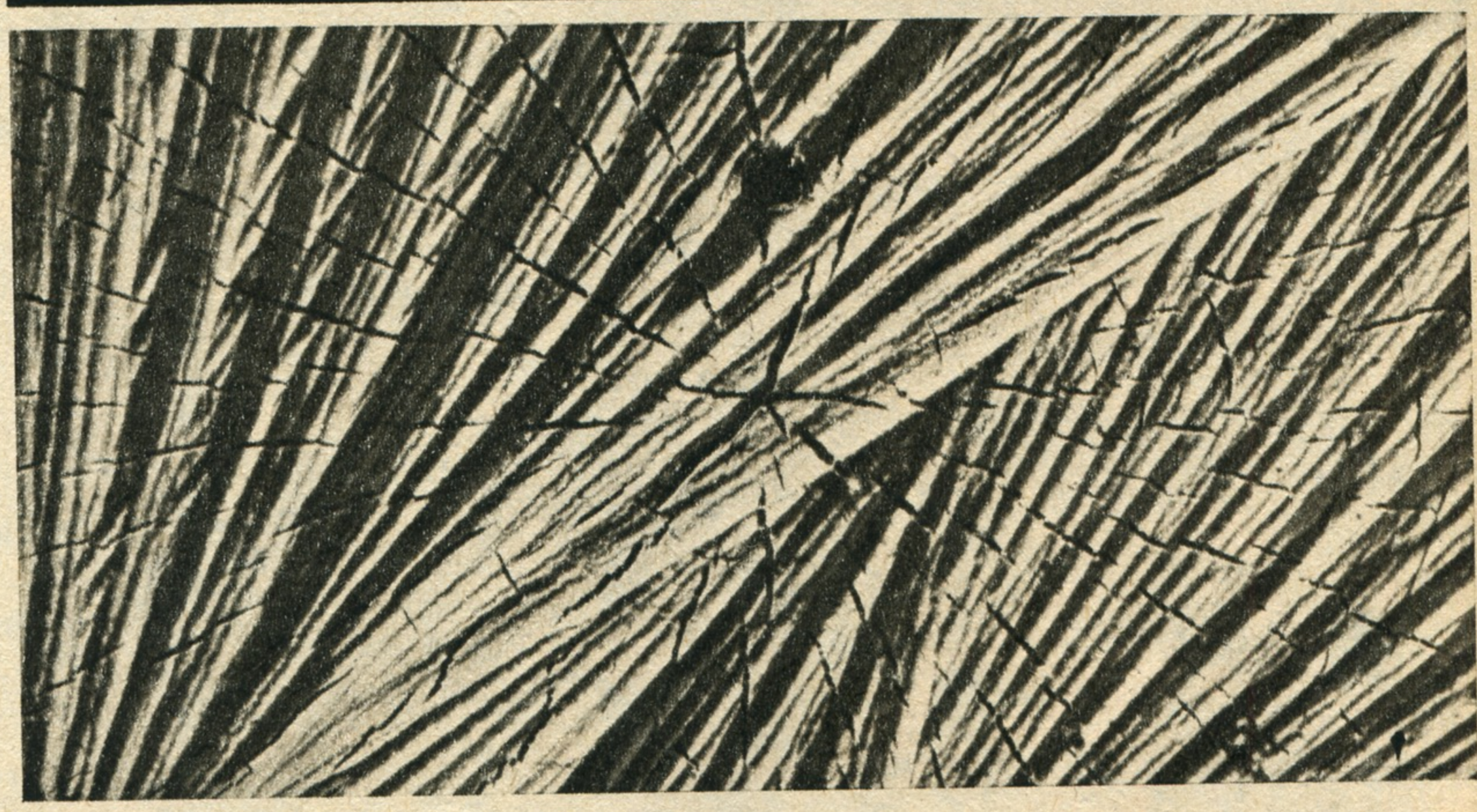

Fot. Sabina Uścińska-Siwczuk

MORSKA ZIMA

Tajemnicze jest morze zimą,
gdy pustka omiata fale.
Z daleka okręty dymią,
spowite tiulowym szalem.

W wysmukłej jak sopel latarni,
latarnik siada przy ogniu,
przegląda stare kroniki
kartę po karcie — dzień po dniu.

Zamglonym wzrokiem przemierza
przyjazdy statków, odjazdy —
i jarzy się szklana wieża
ruchomym światłem przyjaznym.

Tajemnicze jest morze w śniegu,
gdy mewy skulone na molo
patrzą na północ, gdzie Biegun
polarną lśni aureolą.

Stanisław Grochowiak

ZIMA

Z czego jest zima?
Ze śniegu,
z mrozu, co rzekę trzyma
lodem skutą u brzegu.

Z czego jest śnieg?
Z roju gwiazd,
co opadły we śnie
na dachy wszystkich miast.

A mróz?
Mróz z czego?
Z najpiękniejszego snu
w połowie dnia zimowego.

Józef Ratajczak
Rys. Maria Sołtyk

Dokończenie ze str. 11

KOLACJA Z BOA DUSICIELEM

ły i ukazała się w nich głowa naszej sąsiadki. Przyglądała się nam bardzo długo, aż do chwili, kiedy jedno po drugim przestaliśmy gwizdać.

— Tak — powiedziała wreszcie z przekąsem sąsiadka — zamiast łapać swoje gady, siedzą na stole i jeszcze gwiżdżą...

— Proszę, niech pani pozwoli... — zaczął uprzejmie tata.

— Nie pozwolę! Ja też mam dzieci...

— Co za gady? Jakie gady? — zapytał tata. — Gdzie je pani widziała?

Nagle sąsiadka spojrzała pod stół, na którym siedzieliśmy, i jej oczy po prostu wyszły na wierzch.

— Boa dusiciel! — krzyknęła. — Boa! Pod stołem! Ratunku! Milicja!

Z piskiem wyskoczyła z pokoju wołając już na ulicy:

— Boa dusiciel! Milicja! Boa dusiciel! Milicja!

Zamarli staliśmy na stole, jak na warcie honorowej. Stół był rozsuwany i pośrodku miał szparę, przez którą można było spojrzeć na podłogę. Tam właśnie zwinięty w kółko leżał ogromny wąż.

— Dusiciel — powiedział tata. — Pod naszym stołem jest boa dusiciel...

— Dusiciela nie przynosiłem — protestował Dima.

— Oczywiście, przypełznął sam... W gościnę do węży...

Wtedy Dima zeskoczył ze stołu, chwycił walizkę i otworzywszy ją jak potrzask począł się przybliżać do dusiciela. Wszyscy wychyliliśmy się. Nataszka zaczęła piszczeć. Mama zakryła twarz rękami. Stół się zachwiał, nogi trzasnęły i wszyscy runęliśmy na podłogę. Na szczęście blat stołu spadł płasko i nakrył gada. Spod desek sterczał tylko jego ogon, bardzo okrągły i taki jakiś, jakby ucięty toporem. Dimka chwycił dusiciela za ogon i pociągnął do siebie.

— Wąż! — krzyknął. — Ale gumowy do polewania, a nie dusiciel!...

Teraz i ja, i mama z Nataszką zobaczyliśmy, że to rzeczywiście był wąż do mycia samochodu taty. Zerwaliśmy się i podnieśliśmy blat stołu. A mama odważnie złapała ręką gumowego węża i zawołała w stronę sąsiedniej willi:

— Niełądnie podsłuchiwać! I gumowego węża nazywać dusicielem też niełądnie! Przecież to nawet nie zaskroniec, ale wąż do polewania. — Z tymi słowami mama podniosła jeszcze jakąś żółtą rurkę i krzyknęła: — O, jeszcze i to też guma!

— A to właśnie jest prawdziwy wąż! — poprawił Dima.

Krzyk, jaki się jednocześnie wyrwał z piersi, mamy, taty, Dimy i mojej — zagłuszyło przeraźliwe wycie strażackiej syreny. Do syreny przyłączył

się wkrótce sygnał pogotowia, które w pośpiechu podjechało do naszej bramy. Słychać było głosy milicyjnych świstawek, i głośne uderzanie żelazem o szynę: don! don! don! don! firr! firr! firr! u-u-u-u-u?! u-u-u-u! u-u-u-u-u!

O czym ze sobą rozmawiali dzielnicowy i tata, skąd strażacy wyciągnęli pozostałe trzy węże Dimy, co przez ten cały czas wołała sąsiadka i dlaczego tatusiowi wetknęli w ręce jakieś pokwitowanie za zapłacony mandat — nie będę opowiadał, ponieważ wytrzymaliśmy to z Dimą mężnie, jak przystoi prawdziwym podróżnikom. Tylko raz nasze szeregi zachwiały się i wpadły w popłoch — kiedy lekarz z pogotowia obejrzawszy nas i zauważywszy na naszych rękach podejrzane zadrapania, pokręcił głową i polecił nam zdjąć spodnie.

— A to po co? — oburzył się Dima.

— Do zastrzyków! — wyjaśnił lekarz. Dima krzyczał, że jeszcze nigdy nie czytał, aby podróżnikowi hodującemu węże pakowali zastrzyki!

— Po pierwsze — wołał tata ściągając z Dimy spodnie — prawdziwy podróżnik hoduje węże u siebie w domu, a nie będąc w gościnie... Po drugie — wołał zdzierając spodnie ze mnie — prawdziwy podróżnik ogrzewa węże tylko na swojej piersi, a nie na piersi swojego ciotecznego brata!...

Potem w naszym domu nastała zupełna cisza. Wszyscy rozeszli się do swoich pokojów i położyli spać.

Rano Dimy już u nas nie było. Potarłem miejsce po zastrzyku i jęknąłem od niespodziewanego bólu.

Wsunąłem rękę pod poduszkę i namacałem kartkę. Kartka była, oczywiście, od Dimki:

„Wszystko w porządku! Trening odważnych podróżników trwa! Czekaj na dalsze instrukcje!"

Opracowała Hanna Ożogowska
wg Walerego Miedwiediewa
Rys. Bohdan Butenko

Nasze listy • Nasze listy • Nasze listy

Informujemy Ruch

W 20 numerze „Płomyczka" z ubiegłego roku zapytaliśmy Czytelników o trudności przy nabywaniu naszego dwutygodnika. Oto pierwsze wypowiedzi, jakie nadeszły do redakcji:

SIEMIATYCZE (woj. białostockie)

— Jesteśmy uczniami kl. III Szkoły Podstawowej Nr 1 w Siemiatyczach. Od początku roku szkolnego mamy kłopoty z zakupem „Płomyczka". Biegamy po całym mieście. Zdobywa je niewiele osób, bo w każdym kiosku jest po kilka egzemplarzy.

My dzieci z Siemiatycz prosimy o zwiększenie ilości do 70 sztuk. Najbardziej odpowiada nam kiosk nr 109 przy ulicy Świerczewskiego.

Dzieci z klasy III d

DREZDENKO (woj. gorzowskie)

— Jako wychowawca i nauczyciel języka polskiego w kl. III mam olbrzymie trudności w zdobyciu odpowiedniej ilości egzemplarzy „Płomyczka".

Jeszcze we wrześniu i październiku udawało mi się kupić w różnych (czterech) kioskach miasteczka 15—18 egzemplarzy, a teraz 5—6. Ta ilość nie jest wystarczająca. Niezadowolenie wśród uczniów pogłębia się.

Zwracałam się już z prośbą do Odziału RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Gorzowie Wlkp. za pośrednictwem kiosku, w którym najwięcej udawało mi się kupić egzemplarzy, i co zyskałam — straciłam z 10 szt. na 3.

Po ukazaniu się informacji w 20 nrze „Płomyczka", który dotarł do naszych kiosków 1.12.1988 r. zwracam się z gorącą prośbą w imieniu moim i moich 23 wychowanków o pomoc w zakupie czasopisma.

Kiosk, w którym najłatwiej będzie się nam zaopatrywać, to kiosk nr 095 na ul. Czerwonej Armii.

Pieczątka Szkoły Podstawowej
w Drezdenku

KAMION k/Skierniewic

Informacja telefoniczna, że w kiosku brak „Płomyczka".

GLIWICE

— Nazywam się Tomek, mam 9 lat i 6 miesięcy, jestem trzecioklasistą, chodzę do Szkoły Podstawowej przy ulicy Tarnogórskiej w Gliwicach.

Mieszkam blisko szkoły, jest tam sporo kiosków, ale zdecydowanie we wszystkich brak „Płomyczka". Proszę się nie dziwić, że piszę tak późno i zrobić coś z tym brakiem.

Zapomniałem jeszcze napisać, że „Płomyczka" brakuje w kioskach na ulicy Tarnogórskiej, oczywiście w Gliwicach.

Tomasz Latawiec
ul. Św. Marka 48/5

Sygnały naszych Czytelników przesłaliśmy do Zespołu Handlu i Upowszechniania Prasy w ZG „Prasa-Książka-Ruch."

Prosimy Czytelników o dalsze konkretne informacje o kłopotach, jakie napotykają w nabywaniu „Płomyczka".

Redakcja

KONCERT

Wczoraj wieczorem znajomy pilot
zadzwonił do mnie prosto z Okęcia.
— Wiesz, co się stało tutaj przed chwilą?
— Gdzie?
— Na lotnisku.
— Nie mam pojęcia.
— No, więc posłuchaj, wszedłem na wieżę,
patrzę uważnie, wzrok w niebo wlepiam,
patrzę i własnym oczom nie wierzę,
bo wśród obłoków widzę fortepian.
— Co? Co takiego?
— Fortepian widzę.
Buja w obłokach, po niebie leci,
skrzydła rozwinął i już ląduje,
a za nim zaraz drugi i trzeci.
Leci wiadomość przez megafony:
— Fortepian z Tokio! Z Moskwy! Z Lizbony!
Wylądował fortepian z Hawany,
za chwilę wylądują następne fortepiany!
Fortepian z Rzymu, z Oslo, z Paryża,
z Nowej Zelandii, z Grecji, ze Stanów —
na własnych skrzydłach wszystkie leciały
i przyleciało sto fortepianów.
Całe lotnisko teraz wygląda
jak jedna wielka muzyczna scena.
— A gdzie piloci?
— Przy fortepianach
i wszyscy grają koncert Chopina!

Wanda Chotomska
Rys. Zdzisław Witwicki

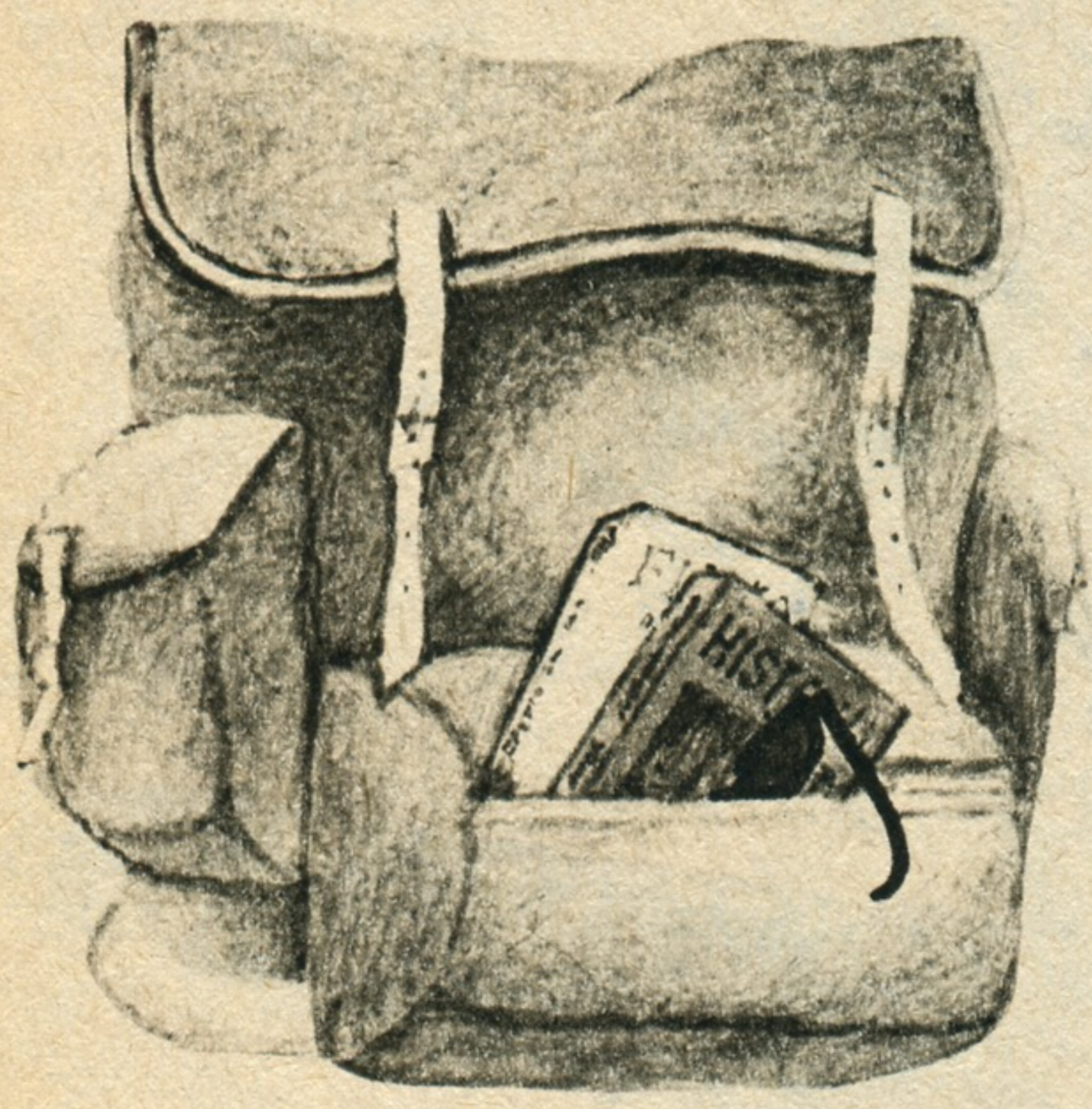

DIABEŁ W SPIŻARNI (4)

Zaraz po kolacji wymknąłem się na górę. Było to o tyle łatwe, że Baśka tak zajęła ciocię i wujka paplaniem, iż nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zabrałem ze sobą spory dzbanek herbaty z szałwii. Jak dotąd, było to jedyne pożywienie Zielonego, bo wyprawę do spiżarni planowaliśmy dopiero na dzisiejszą noc. Wzmacniał się od czasu do czasu jakimiś pastylkami wydobywanymi z niewidzialnych kieszeni swojego ubrania, ściśle przylegającego do ciała. Wiedziałem jednak doskonale, że trzeba ostatecznie ustalić, co może jeść. Jego choroba w ziemskich warunkach mogłaby okazać się tragiczną, jak niegdyś odra dla Indian.

Postanowiłem, że nocą, kiedy wszyscy będą spali, zakradniemy się do spiżarni i ustalimy organoleptycznie, co dla Zielonego jest jadalne. Porozmawialiśmy z godzinę. Nastawiłem budzik na pierwszą w nocy i zasnąłem. Ale nie było mi dane spać spokojnie.

Obudził mnie przeraźliwy krzyk dochodzący z dołu. To krzyczała ciocia Zosia. Usiadłem na łóżku nasłuchując. Po chwili krzyk się urwał, jak ucięty nożem i usłyszałem podniesione głosy wujka Tośka i Baśki. Zbiegłem szybko na dół. To, co zobaczyłem, wprawiło mnie w osłupienie. W kuchni na podłodze leżała ciocia Zosia. Wujek robił jej sztuczne oddychanie, a Baśka okładała głowę mokrym ręcznikiem. Przestępowałem z nogi na nogę, nie wiedząc, co robić. Wreszcie ciocia otworzyła oczy i błędnym wzrokiem rozejrzała się dokoła. Pomogliśmy jej wstać i usiąść na krześle.

— Co się stało? — pytaliśmy jedno przez drugie.

— Diabeł... — powiedziała z trudem i drżącą ręką wskazała na drzwi spiżarni.

Zrobiło mi się nieswojo. Wujek wyszedł na palcach do sieni i przyniósł dubeltówkę na grubego zwierza. Zamarliśmy w oczekiwaniu. Wujek tymczasem otworzył kopnięciem drzwi do spiżarni i krzyknął:

— Ręce do góry!

Z wnętrza spiżarni nie dochodził żaden głos. Światło padające z kuchni oświetlało półki z kompotami i powidłami. Wujek nie dając za wygraną zapalił światło. Nie było nikogo.

— Zdawało ci się — zwrócił się do cioci.

— Ależ widziałam go doskonale — upierała się — otworzyłam drzwi, a on stoi z butelką octu w ręce.

— Może jakiś złodziej wszedł przez otwarte okno. Trzeba je na noc zamykać.

— Mówię ci, że to był diabeł — powiedziała z naciskiem ciocia.

— Wszyscy złodzieje to diabelskie nasienie — skwitował wujek.

— Kiedy to był najprawdziwszy diabeł, tylko zielony — ciocia zaszlochała. — Prawdziwy zielony diabeł. I tak mnie przestraszył.

Kolana ugięły się pode mną. Obawiałem się najgorszego. Byłem pewny, że to Zielony.

— A może Marsjanin? — zażartował wujek — ostatnio pisali w gazecie o latających talerzach.

— Na Marsie nie ma życia — wtrąciła autorytatywnie Baśka.

— Kto tam może wiedzieć? — machnął ręką wujek.

— To jest stwierdzone naukowo, chociaż niektórzy uczeni uważają, że kosmici odwiedzają naszą Ziemię — wymądrzała się dalej.

— A teraz zakradli się do spiżarni cioci Zosi, bo na pewno chcą zrobić zapasy na dalszą drogę — powiedziałem z przekąsem.

Przerwałem jej niegrzecznie, ale wolałem, żeby rozmowa nie dotyczyła kosmitów. Baśka poczerwieniała jak piwonia.

— Idźcie już spać! — przynaglił wujek. — Diabeł czy Marsjanin, na pewno już nie wróci. A swoją drogą, dlaczego pies nie szczeka? Coś mi się zdaje, że trzeba uważać, aby i jego nie ukradli.

Pobiegłem do swojego pokoju i zajrzałem pod łóżko. Zielonego nie było. Nie miałem już wątpliwości, kogo ciocia zobaczyła w spiżarni. Ale gdzie on może być? Uciec mógł tylko przez okno. Muszę go zaraz odszukać.

Nadstawiłem uszu. Na dole panowała zupełna cisza. Zszedłem na palcach na parter, odryglowałem drzwi i bezszelestnie wyszedłem na podwórze. Podbiegł do mnie Burek. Obszedłem dookoła dom. Po Zielonym ani śladu. Zastanawiałem się, gdzie mógłby się schować. Jeżeli w lesie, to nie miałem żadnych szans, aby go odnaleźć. „A może w stodole?" — błysnęła mi nagła myśl. Pobiegłem tam. Wrota były lekko uchylone.

— Hej, Zielony, jesteś tu? — spytałem scenicznym szeptem.

Siano zaszeleściło i po chwili z ciemności wyłonił się domniemany diabeł.

— Ale narozrabiałeś — zganiłem go. — Ciocia zemdlała, wujek chciał zastrzelić złodzieja, a Baśka bredziła o UFO...

— Głodny byłem. Nie chciałem cię budzić i sam zakradłem się do spiżarni. A dalej to już wiesz. Wyskoczyłem przez okno i ukryłem się tutaj. Powinienem jednak wrócić do swoich, za dużo masz ze mną kłopotu.

— Głupstwa gadasz! — ofuknąłem go. — Po pierwsze, nie masz identyfikatora, a po drugie, pomyśl, jak będziesz wyglądał po przeszczepieniu mózgu. Na pewno coś wymyślimy. A teraz wracajmy.

Zielony nic już się nie odzywał. Przebiegliśmy przez podwórze i z największą ostrożnością wspięliśmy się na poddasze. W całym domu panowała cisza, nie licząc basowego chrapania wujka Tośka. Po omacku doszedłem do łóżka, za mną jak cień posuwał się Zielony.

— No, udało się — westchnąłem z ulgą i w tej samej chwili rozbłysło światło.

Serce skoczyło mi do gardła. Zielony dał nura pod łóżko.

— Ach, to tak — usłyszałem głos Baśki.

Odwróciłem się. Stała przy drzwiach trzymając rękę na wyłączniku.

— Od razu wiedziałam, że to twoja sprawka — podeszła do łóżka. — Pokaż się, kolego...

— Tam nikogo nie ma — usiłowałem ją zatrzymać.

— Nie wygłupiaj się, wszystko widziałam. No, wyłaź — dodała pochylając się.

Spod łóżka pokazała się głowa Zielonego, potem cała reszta.

— Dobry wieczór! — przywitał się.

Baśka omal nie krzyknęła.

— Och, jaki on zielony — wydukała.

— A ty jesteś wścibska, i co z tego! Każdy ma jakieś wady. No, nie? — odciąłem się.

Baśka zignorowała moją złośliwość i wdała się w rozmowę z Zielonym, który opowiedział jej swoją historię. Była zachwycona.

— Skąd tak doskonale znasz nasz język? — spytała wreszcie.

To pytanie wydało mi się logiczne, sam nie wiem, dlaczego wcześniej o to nie spytałem.

— Mam kszekszelo.

— Pokaż.

Zielony otworzył szeroko usta. Baśka z zaciekawieniem oglądała jego zęby, zielony język i podniebienie. Ja również nie mogłem powstrzymać ciekawości.

— Nic nie widzę — powiedziała.

— To ten — Zielony włożył palec do ust i pokazał... trzonowy ząb.

Ząb jak ząb. Nie różnił się od pozostałych.

— Na jakiej zasadzie to działa? — spytała rzeczowo Baśka.

Muszę przyznać, że zaimponowała mi. W ciągu godziny wyciągnęła od kosmity więcej informacji niż ja dotąd przez całą dobę.

— Jest to analizator tekstowy, przetwarzający pojęcia na słowa. Myślę po swojemu, a on przetwarza to na wasz język i odwrotnie.

— To ząb za ciebie mówi? — zdziwiłem się.

— Nie, ja mówię, a on tylko nadaje moim słowom brzmienie dla was zrozumiałe.

— To całkiem jak z wysokimi obcasami u kobiet. Czynią kobiety zgrabniejszymi, ale nie zastępują nóg — mrugnęła łobuzersko Baśka.

Ja jednak nie mogłem zrozumieć, jak działa zębowe kszekszelo Zielonego.

— Co zamierzacie robić dalej? — Baśka zmieniła temat.

— Jeszcze nie ustaliliśmy szczegółowo planu — mruknąłem niechętnie, bo przecież tak naprawdę nie miałem, żadnej koncepcji.

— Jutro coś postanowimy. Musimy to przemyśleć, a teraz czas spać. Wkrótce będzie świtać.

Baśka wyszła. Ułożyliśmy się do snu. Nawet nie wiem, kiedy usnęliśmy.

Wyprawa w góry

Nazajutrz po śniadaniu w moim pokoju odbyła się narada. Nikt nam nie przeszkadzał, ponieważ ciocia Zosia pojechała do siostry do Sanoka (na pewno chciała jej jak najprędzej opowiedzieć historię z zielonym diabłem), a wujek poszedł na obchód lasu. Trudno to nazwać naradą, bo Baśka przedstawiła nam swój projekt, a my go zaakceptowaliśmy.

Byłem trochę zły, że to dziewczyna przejęła inicjatywę, ale musiałem sprawiedliwie przyznać, iż plan był dobry.

Baśka proponowała iść w góry i dostosować działanie do sytuacji. Oponowałem trochę, ale w końcu przyznałem jej rację. Trudno było bowiem przewidzieć przebieg wypadków, zaś ukrywanie dalej Zielonego pod łóżkiem nie miało sensu. W jednym byliśmy wszyscy zgodni, że profesor Put na pewno będzie próbował porwać Zielonego. Nasz Zielony kolega powątpiewał, czy uda nam się gdziekolwiek dojść, ponieważ — jak twierdził — możliwości profesora Puta są nieomal nieograniczone. Ostatecznie postanowiliśmy wyruszyć w góry. Zadania zostały rozdzielone.

Baśka przekonała ciocię, że powinniśmy się wybrać na dalszą wycieczkę. Przytakiwałem jej i zapewniałem, że o niczym bardziej nie marzę. Baśka zapewniała, że zaraz za Dołżycą dołączymy do obozu harcerskiego, gdzie ma kilka koleżanek. Ja kompletowałem różne przedmioty, które mie-

liśmy zabrać ze sobą. Aby niczego nie zapomnieć, zrobiliśmy wcześniej odpowiedni spis. Po namiot, butlę gazową i inne niedostępne na miejscu rzeczy Baśka pojechała do Leska. Gdy po kilku godzinach wróciła, zaczęliśmy wszystko pakować. Zielony w tym czasie siedział na poddaszu i oglądał „telewizję" lub słuchał „radia". Tak, miał w swoim wyposażeniu miniaturowy aparat z rozkładanym ekranem. Za pomocą tegoż aparatu mógł odbierać wszystkie programy telewizyjne i radiowe. Wszystko go interesowało.

Wyruszyliśmy następnego dnia wczesnym rankiem. Zielony czekał na nas ukryty w gęstej olszynie. Kiedy odeszliśmy od leśniczówki wystarczająco daleko, zatrzymaliśmy się, by przepakować plecaki. Zielony podjął się nieść najcięższy plecak, ponieważ mógł korzystać z antygrawitatora, który miał ze sobą. Ja niosłem średni plecak, a Baśka najlżejszy.

Baśka szła pierwsza, za nią Zielony, a ja zamykałem pochód. Szliśmy gęstym lasem, bez ścieżek i szlaków. Wspinaliśmy się prawie na czworakach w górę, to znów po stromych stokach schodziliśmy w dół, ślizgając się i potykając o wystające korzenie i głazy. Dopiero teraz zobaczyłem, jakie naprawdę są Bieszczady. Te na pierwszy rzut oka, łagodne góry, są dzikie i niedostępne. Z dala od wydeptanych szlaków turystycznych odnosiło się wrażenie, że od czasu potopu my pierwsi tutaj wtargnęliśmy. Pot zalewał mi oczy, oddech rwał się, wstyd mi jednak było przyznać się do zmęczenia.

Od czasu do czasu przystawaliśmy na krótko, by sprawdzić, czy dobrze idziemy. Były to chwile, kiedy łapałem oddech.

Dłuższy postój zarządziła Baśka pod szczytem góry porośniętej wysoką trawą. Byliśmy na Falowej, przed nami roztaczał się piękny widok.

— Zejdziemy koło Uroczyska, wejdziemy na Czereninę i będziemy na miejscu. Dwie godziny powinny nam wystarczyć — powiedziała Baśka.

Przygotowaliśmy obiad. Baśka i ja zjedliśmy makaron z gulaszem, a Zielony z pół kilo cebuli. Był wegetarianinem. Najbardziej smakowały mu: cebula, czosnek, papryka, no, i oczywiście szałwia w każdej postaci. Ziarnka pieprzu i ziela angielskiego chrupał z taką przyjemnością jak ja cukierki. Odpoczęliśmy porządnie i ruszyliśmy w dalszą drogę. Po dwóch godzinach, tak jak przewidziała Baśka, byliśmy na miejscu.

Ciąg dalszy nastąpi

Ewa Barańska i Wiesław Kot
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

DRODZY CZYTELNICY!

Mamy dla Was nowe zadanie plastyczne:
Spróbujcie — podczas ferii wiosennych — narysować

PISANKĘ WIELKANOCNĄ.

Oczywiście obowiązuje nasza stała umowa: najpiękniejsze i najbardziej pomysłowe opublikujemy w „Płomyczku".

Redakcja

DLA CIEBIE I DLA MAMY

CEBULA I CZOSNEK

Ochrona przed katarem

W Egipcie na piramidzie Cheopsa znaleziono napis, że na cebulę i pory oraz na czosnek dla robotników wydano 1600 talentów srebra *). Egipcjanie czcili cebulę, rozpowszechniali jej uprawę. Znali jej właściwości smakowe i lecznicze. Lubili także jeść czosnek i pory. U nas warzywa te znane są dopiero kilkaset lat. Spełniały ważną rolę w czasie wojny w obozach koncentracyjnych, gdzie ratowały ludzi od szkorbutu. W soku cebuli i czosnku bowiem znajdują się związki (fitoncydy) hamujące rozwój niektórych bakterii chorobotwórczych. Te właściwości soku cebuli wykorzystuje się np. **przy leczeniu kataru**. Pamiętajcie o tym. W okresach słot jesiennych i na wiosnę należy jadać dużo cebuli, czosnku, porów i szczypioru, aby zapobiec zachorowaniom. W stanie surowym warto dodawać je do sałatek, surówek, past z ryb i jaj oraz serów wszelkiego rodzaju. Nie zrażajcie się przykrym zapachem. Po zjedzeniu trzeba popić mlekiem i przykry zapach złagodnieje.

Cebula ma bardziej lub mniej ostry zapach i smak, zależy to od ilości występującego w niej olejku zawierającego siarkę — im jest więcej, tym jest ostrzejsza, tym więcej wylejecie łez przy jej obieraniu. Weźcie do ręki ten złoty pąk i rozbierzcie z łusek, a zobaczycie, że pod nimi są białe, kremowe lub liliowate mięsiste liście wyrastające z krótkiej łodygi (zwanej piętką), ułożone jeden na drugim tak, że tworzą bardziej lub mniej wydłużoną „główkę". W lecie, gdy cebula jest młoda, liście te zakończone są rurką zieloną, którą nazywamy szczypiorem. Na zewnątrz główka cebuli okryta jest suchymi łuskami.

Główka czosnku jest złożona z 5 do 20 pojedynczych cebulek, zwanych ząbkami. Bratem cebuli i czosnku jest por — wydłużona cebula składająca się z przylegających do siebie liści, zakończonych zielonymi, długimi blaszkami.

Warzywa cebulowe nadają potrawom przyjemny smak i zapach. Dlatego stosuje się je powszechnie w potrawach, używa w postaci świeżej lub suszonej, wchodzą w skład różnych przypraw.

Witamina C występuje w cebuli w niewielkiej ilości, trochę więcej jest jej w czosnku, natomiast por i szczypior są zasobniejsze w tę witaminę.

Cebulę przed obraniem z łusek należy umyć, ponieważ na łusce znajdują się różne zanieczyszczenia — mikroorganizmy szkodliwe dla zdrowia, związki chemiczne i inne. Po zdjęciu łuski i odcięciu korzeni, trzeba cebulę opłukać i pokroić. Pory trzeba myć bardzo starannie, szczególnie w zagłębieniach tworzonych przez poszczególne liście. Tam gromadzi się najwięcej zanieczyszczeń.

Ludzie używają cebuli na pokarm już 10 tysięcy lat, a narody starożytne wierzyły, że dodaje ona człowiekowi męstwa, chroni od ciosów wroga. Przed bitwą dawano wojownikom dużo cebuli do jedzenia. Oczywiście z mięsem. Cebula naprawdę służy zdrowiu.

Krystyna Tarnowska
Rys. Joanna Kusek

---

*) Talent srebra — jednostka pieniężna, wartości ok. 26 kg srebra.

Rys. Łukasz Josefowski

Rys. Bogdan Frączyk

Rys. Paweł Sokół

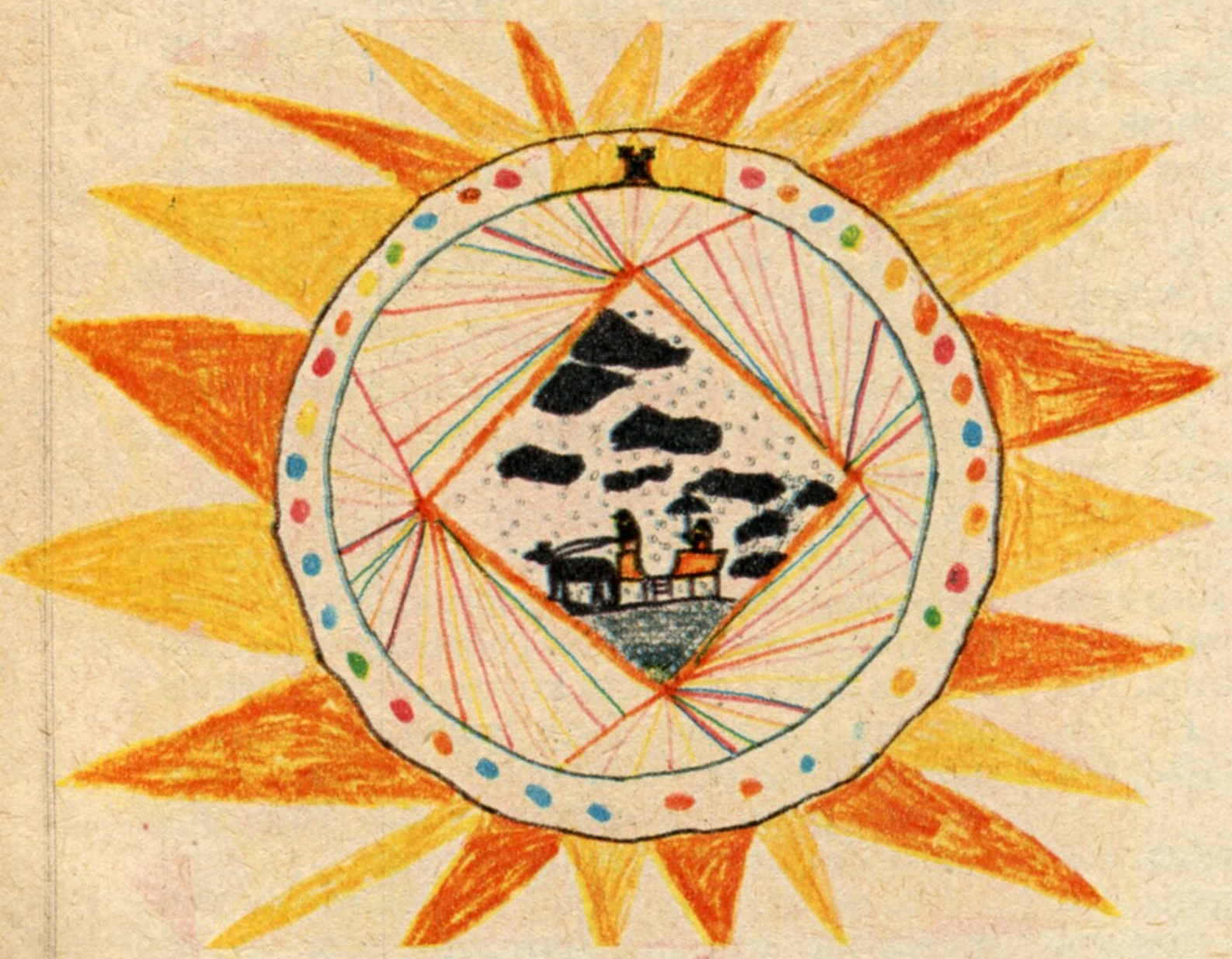

Rys. Monika Grabowska

Rys. Łukasz Rybak
Rys. Michał Josefowski

Rys. Anna Polkowska

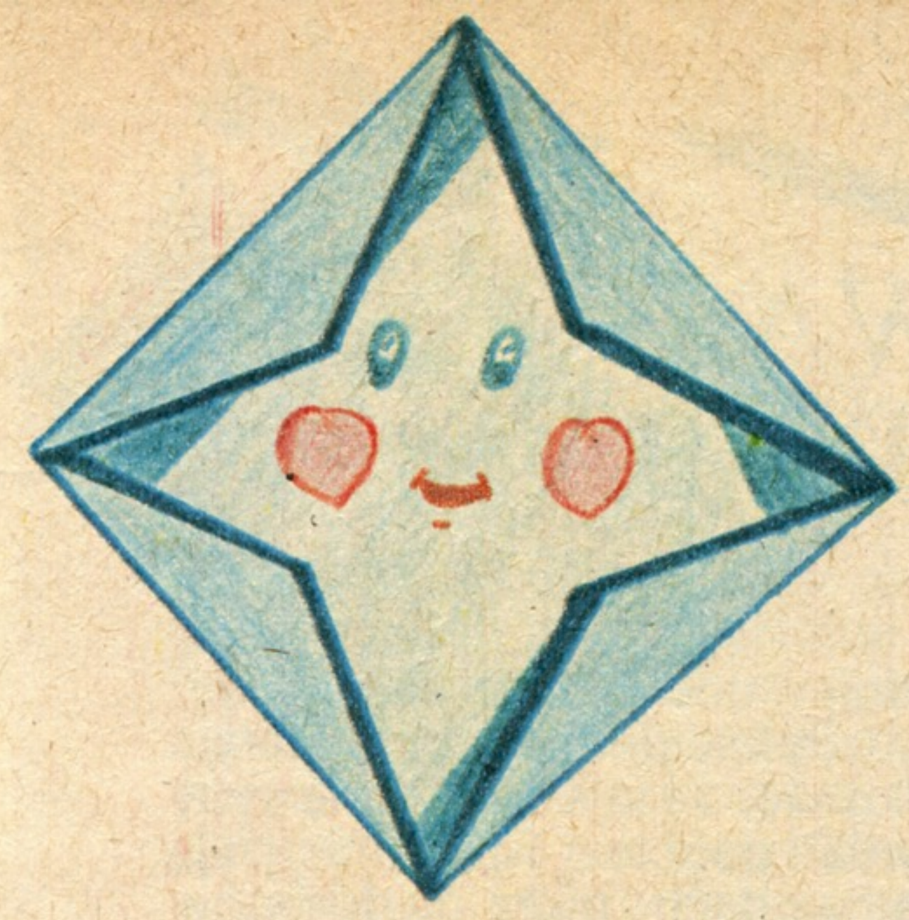

Rys. Marzena Kłośko

Rys. Piotr Żeńca

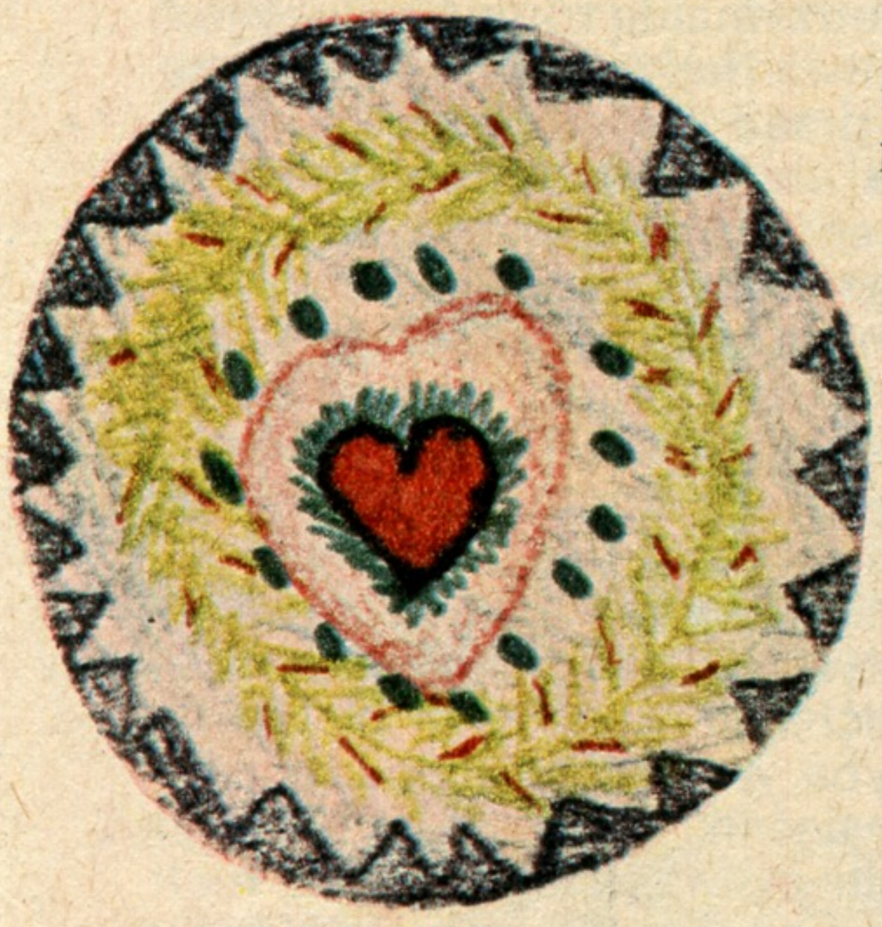

Rys. Alicja Szeliga
Rys. Sławomira Klośka

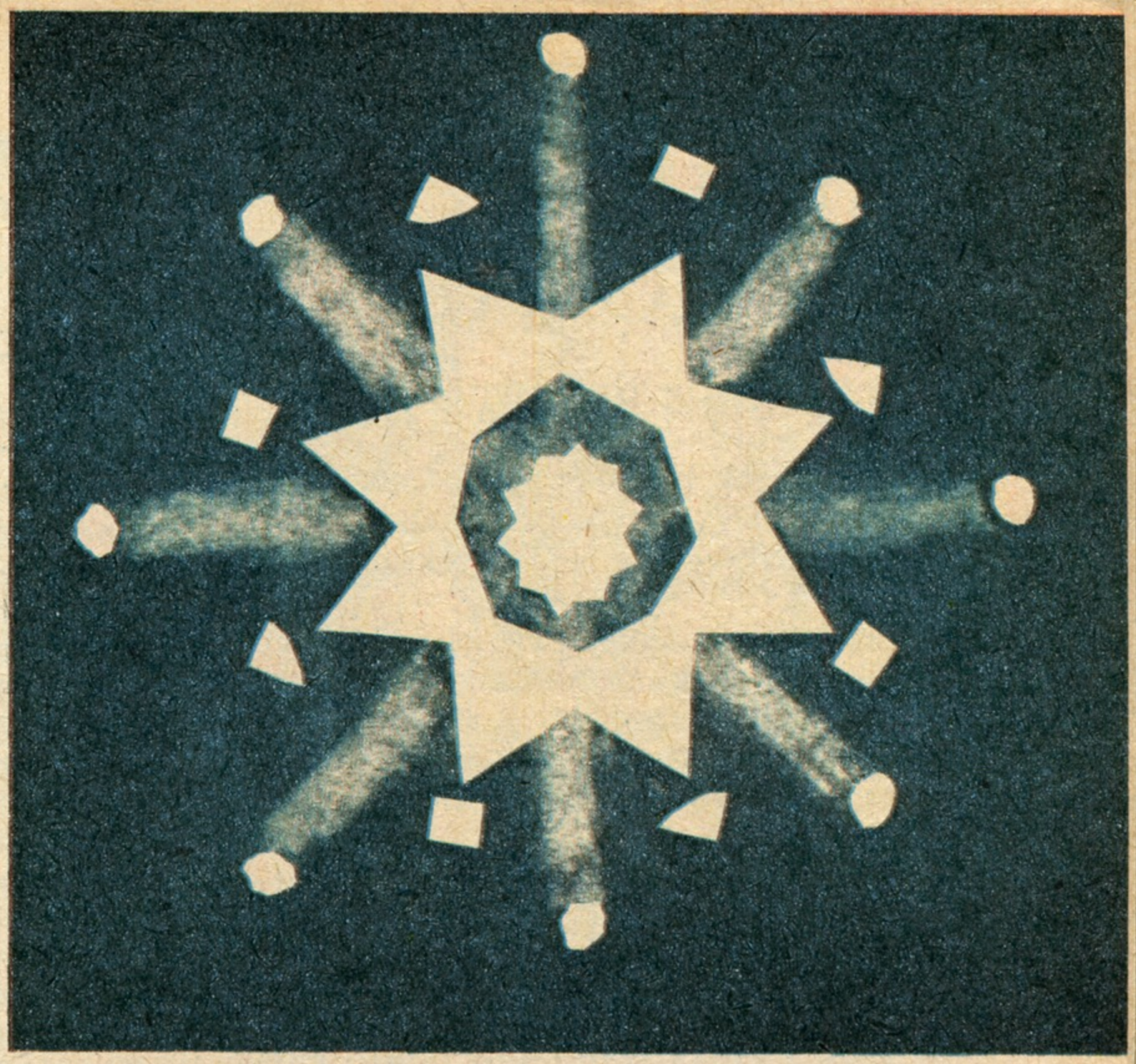

Rys. Magdalena Woźnicka

PORTRETY ŚNIEŻNYCH GWIAZDEK
— z pamięci i z fantazji —

Drodzy Czytelnicy! Twórcy Śnieżnych Gwiazdek!

Serdecznie Wam dziękujemy za portrety Gwiazdek.

Najpiękniejsze z nich — w nagrodę — przez całą zimę publikujemy w „Płomyczku".

A dwaj rysownicy, bracia Łukasz i Michał Josefowscy otrzymują dodatkową nagrodę: dwa rysunki pani Sabiny Uścińskiej-Siwczuk. W następnym numerze pokażemy fotografie autentycznych gwiazdek śniegowych.

Redakcja

Rys. Agatka Tobolczyk

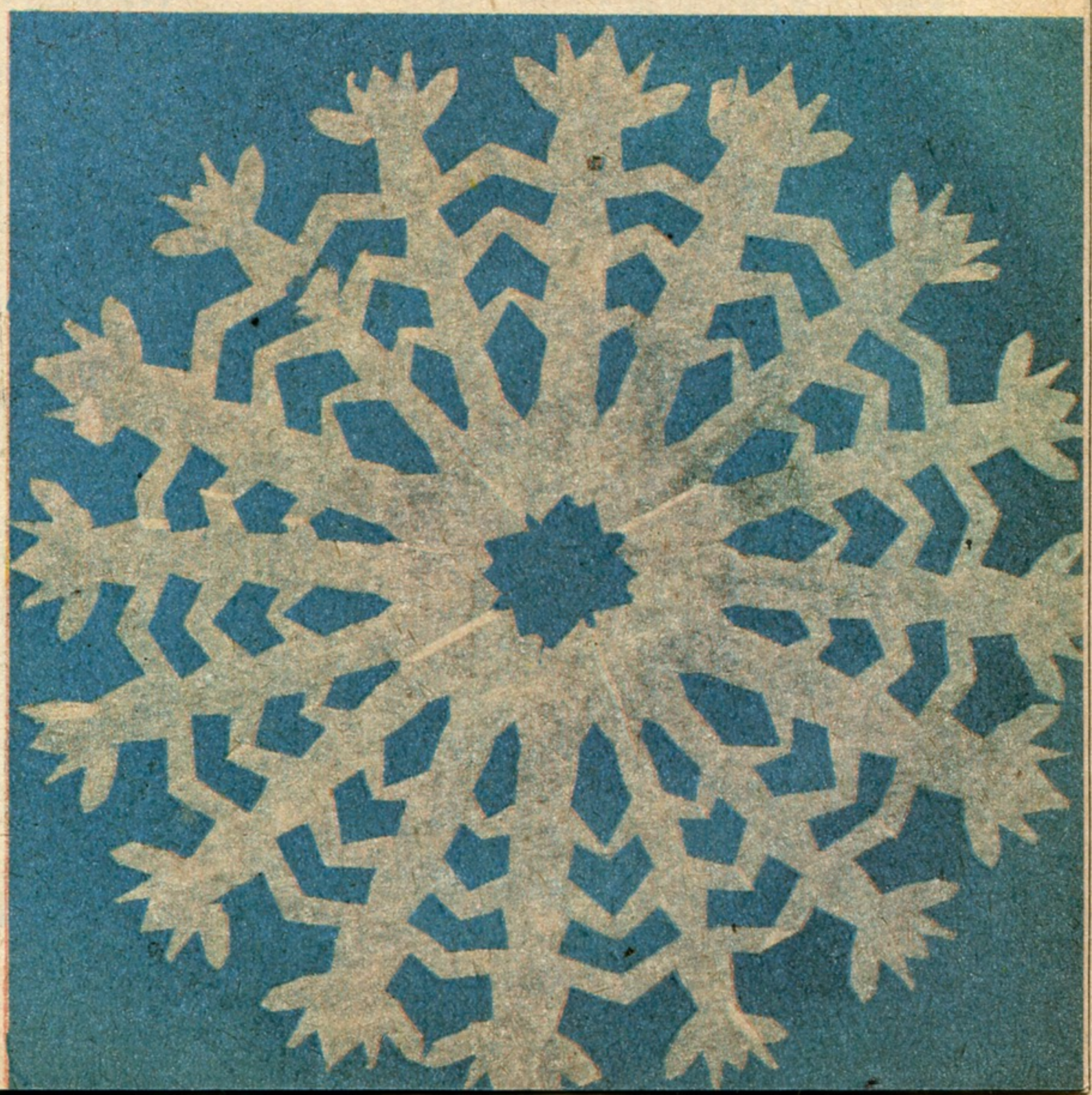

DBAMY O ZDROWIE

Ćwiczenia z gąbką

Podobnie jak ręcznik, gąbka może także być bardzo użytecznym przyrządem gimnastycznym. Nie wierzycie? Przekonajcie się sami.

1. Gąbkę, a najlepiej dwie gąbki wziąć do rąk. Stajemy w lekkim rozkroku, mając ręce opuszczone wzdłuż ciała, i ściskamy obie gąbki przez 3 sekundy (liczymy głośno lub w pamięci: 121, 122, 123 — co równa się trzem sekundom).

2. Następnie ręce z gąbkami unosimy na wysokość ramion i ściskamy. Znowu przez 3 sekundy, opuszczamy ręce, chwila odpoczynku i powtarzamy to ćwiczenie 3 razy.

3. Ręce z gąbkami unosimy ponad głowę i ściskamy przez 3 sekundy (odmierzamy czas licząc 121, 122, 123). Opuszczamy ręce wzdłuż ciała i po chwili odpoczynku powtarzamy ćwiczenie 3 razy. Warto pamiętać, aby przed tym ćwiczeniem wcześniej była z gąbki wyciśnięta woda.

4. To ćwiczenie wykonamy z jedną gąbką. Ręce wyciągamy przed siebie trzymając gąbkę w wyprostowanych dłoniach. Naciskamy dłonią na dłoń i ściskamy przy tym gąbkę. Czas nacisku 3 sekundy. Chwila przerwy i powtarzamy ćwiczenie 3 razy.

Wszystkie przedstawione wyżej ćwiczenia można łączyć z ćwiczeniami oddechowymi. W czasie ściskania gąbki powolny wdech przez nos. Po zwolnieniu nacisku wydmuchujemy powietrze przez usta. Warto także, aby bardziej zaawansowani łączyli te ćwiczenia ze wspinaniem się na palce przy ściskaniu gąbki. Po zwolnieniu nacisku na gąbkę trzeba znów stawać na całych stopach.

Spróbujcie do tych ćwiczeń namówić swoje rodzeństwo, rodziców, koleżanki i kolegów, a może nawet i nauczycieli.

dr Leszek Marek Krześniak

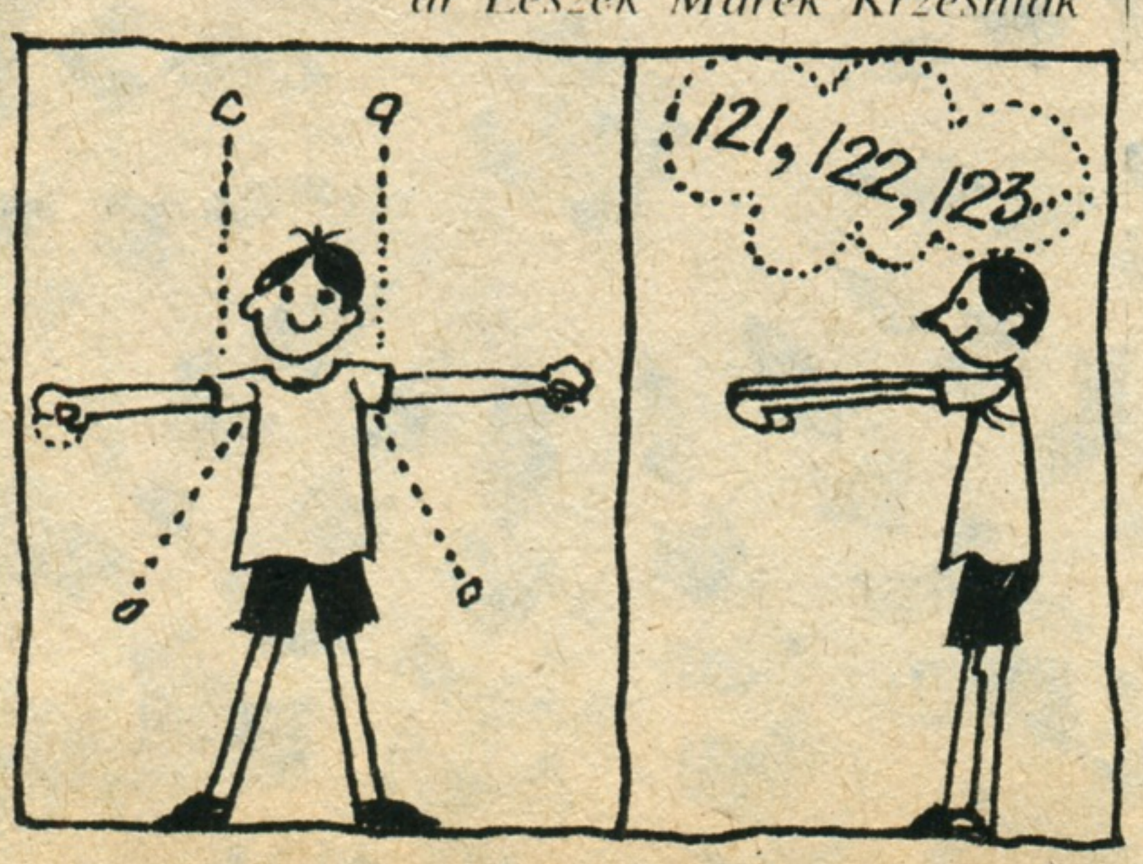

Rys. Anna Kołakowska

Węgorz

Skoczek mułowy

PŁYWAĆ JAK RYBA (2)

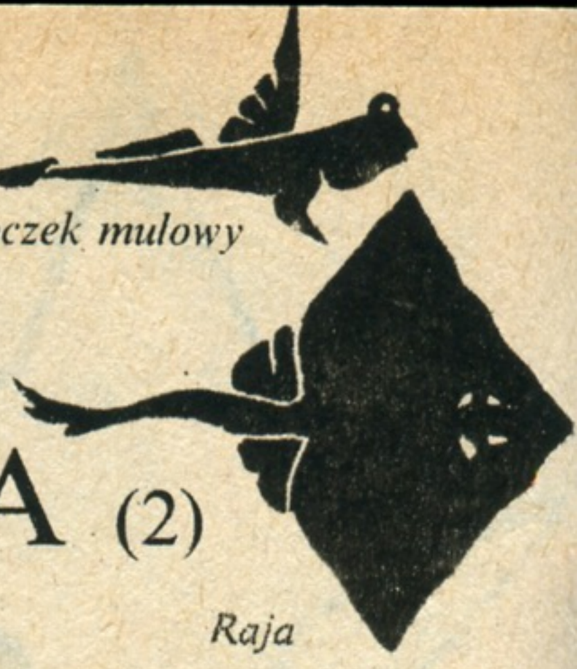

Raja

W poprzednim odcinku, poświęconym pływackim „uzdolnieniom" ryb, starałam się was przekonać, że nie wszystkie ryby pływają równie dobrze. Te, które żyją w otwartych wodach mórz i oceanów i przemierzają ogromne odległości, są najlepszymi, najszybszymi pływakami. Ich charakterystyczna — obła, wrzecionowata sylwetka bardzo zmniejsza opór wody. Ryby prowadzące mniej lub bardziej osiadły tryb życia, które nie odbywają dalekich wędrówek — pływają gorzej lub bardzo słabo. Ich kształt odbiega nieraz znacznie od obłego, wrzecionowatego wzorca i bywa bardzo urozmaicony.

Teraz z kolei należałoby się zastanowić, jaki narząd nadaje rybie pęd: ogon, płetwy, a może całe ciało, a raczej jego ruchy? Otóż u ogromnej większości gatunków „śrubą napędową" jest ogon, jego silne uderzenia na boki „popychają" zwierzę do przodu. Płetwy spełniają rolę stateczników, ułatwiających rybie zawiśnięcie nieruchomo wśród toni i utrzymanie równowagi. Ruch płetw umożliwia jedynie wolne przesuwanie się do przodu.

Ale są także i inne sposoby poruszania się. Węgorze i syreny (długie, wstęgowate, podobne do węży ryby), pływają dzięki falistym, wijącym się ruchom całego ciała. Jest to sposób dobry dla kogoś, kto żyje wśród gęstych zarośli lub skał i zręcznie omija przeszkody. Ale tak zbudowana ryba na pewno nie zostanie mistrzem pływackim.

Wielkie płaszczki unoszą się w toni niby ogromne motyle czy też ptaszyska, majestatycznie machając olbrzymimi płetwami. A dobrze chyba wszystkim znane, płaskie niby jakieś naleśniki — płastugi (flądry) mają długie płetwy grzbietowe. Falisty ruch tych płetw oraz płetwy tylnej stanowi główny napęd u tych ryb.

Niektóre ryby mogą również „chodzić". Żabnica i jej krewniaczka, rybka sargassowa — mają tak przekształcone płetwy, że posługując się nimi „kroczą" po podłożu. Skoczek sułowy zaś, to ryba przypominająca nieco... jaszczurkę lub żabkę. Potrafi ona wyskakiwać z wody na gałęzie lub korzenie przybrzeżnych roślin i skacze po nich.

Anna Siwkiewicz

Makrela

OD JAK DAWNA PŁONĄ

OGNISKO. Kiedy ludzie nauczyli się rozpalać ogniska, tego dokładnie nie wiadomo. Na pewno bardzo, bardzo dawno. Niektórzy uczeni przypuszczają, że aż milion dwieście tysięcy lat temu. Inni sądzą, iż sztukę rozniecania ognia nasi przodkowie opanowali przed około sześciuset tysiącami lat. Całkowicie pewne dowody posługiwania się przez ludzi ogniem pochodzą sprzed trzystu tysięcy lat. Tak stare są bowiem znalezione w północnych Chinach resztki palenisk i odkopane w ich pobliżu zwęglone kości zwierząt.

KAGANKI zapłonęły również w odległej przeszłości. Nie znamy nawet przybliżonej daty dokonania tego wynalazku. Ale już przed pięcioma tysiącami lat wyrabiano kaganki z metalowymi, brązowymi zbiornikami na tłuszcz i knotami z plecionej tkaniny.

ŚWIECE znane są od starożytności, czyli od około trzech tysięcy lat. W starożytnej Grecji i Rzymie, a także w Chinach wyrabiano świece, powlekając sznur konopny lub lniany łojem albo woskiem. Nie były to jednak wygodne źródła światła, bo rozgrzany łój lub wosk szybko stawał się miękki. Takie świece, jakie spotykamy dzisiaj, wyrabiane są od roku 1823 kiedy Francuz Eugène Chevreul (czytaj: Eużen Szewrel) opracował sposób otrzymywania z łoju zwierzęcego substancji nazwanej stearyną, i stapiającej się tylko przy knocie.

LAMPY GAZOWE zapalił po raz pierwszy w swoim mieszkaniu ich wynalazca, Szkot William Murdock (czytaj: Łyliem Mardok). Nastąpiło to w 1798 roku. Oświetlenie gazowe w domach i na ulicach zaczęto stosować

w Anglii od 1805 roku. W Warszawie, Krakowie i Poznaniu zaprowadzono je w latach 1856 i 1857.

LAMPY NAFTOWE, wynalezione przez Polaka Ignacego Łukasiewicza, zapłonęły w 1853 roku. Pierwszym budynkiem oświetlonym tymi lampami był szpital miejski we Lwowie. W nocy z 31 lipca na 1 sierpnia 1853 roku w szpitalu tym dokonano, korzystając z nowego, jasnego oświetlenia, pilnej operacji.

ŻARÓWKI ELEKTRYCZNE są wynalazkiem Amerykanina Thomasa Edisona. Pierwsza zapłonęła w jego laboratorium 21 października 1879 roku i paliła się bez przerwy przez 40 godzin. W Noc Sylwestrową tegoż roku Edison oświetlił już teren swojego laboratorium 800 żarówkami, a w następnym roku wyposażył w lampy elektryczne statek „Columbia". Pierwszym miastem, które otrzymało elektryczne oświetlenie, był Nowy Jork. W 1882 roku Edison uruchomił tam elektrownię zasilającą prądem elektrycznym sieć oświetleniową, do której było włączonych kilka tysięcy żarówek.

JARZENIÓWKI pojawiły się w 1910 roku. Pierwszą lampę jarzeniową wypełnioną neonem skonstruował Francuz Georges Claude (czytaj: Żorż Klod).

ŚWIETLÓWKI zaczęto wyrabiać od 1938 roku. Do wytworzenia pokrywających ich ścianki luminoforów przyczyniły się, między innymi, prace badawcze prowadzone przez wybitnego polskiego fizyka Stefana Pieńkowskiego.

Zbigniew Przyrowski
Rys. Jerzy Flisak

MOKRE NOGI

„Żeby tylko dziecko nie przemoczyło nóg" — to jedno z większych zmartwień naszych rodziców w chłodnej porze roku. Czapka, zakryte uszy, rękawiczki, szalik — też ważne, ale nie przemoczyć nóg — to jednak najważniejsze. W rezultacie jest nam ciepło, w nogi sucho i pewnie zimę przetrzymamy w zdrowiu. Jak to się jednak uda różnym ptakom wodnym, które nie tylko mają nogi przemoczone, ale wręcz trzymają je wciąż w zimnej wodzie?

Aby wyjaśnić, dlaczego ptaki wodne nie przeziębiają się mimo ciągłej kąpieli w przeręblu, zastanówmy się najpierw, jak zimna jest woda zimą. Choć pewnie w szkole jeszcze o tym nie mówiono, można zauważyć samemu, że w miarę ochładzania wody ciekłej początkowo jest ona coraz zimniejsza, a w pewnym momencie pojawia się lód. Dzieje się to w temperaturze, której przypisano 0 (zero) stopni. Niższej temperatury ciekła woda już mieć nie może — zamiast cieczy tworzyć się będzie lód, a ten może być dużo bardziej zimny, podobnie jak i otaczające powietrze. Dlatego w mroźne dni nad wodą unosi się mgiełka pary, podobnie jak nad ogrzewanym garnkiem, w którym woda jest dużo cieplejsza niż jej otoczenie. Kaczce zaś jest w nogi cieplej, gdy je trzyma w wodzie, niż na lodzie lub na powietrzu! Tak samo pożywienie wyjęte z wody jest nie zamarznięte i cieplejsze niż to na brzegu.

Druga z tajemnic kryje się wewnątrz kaczych lub łabędzich nóg. Otóż w ich nogach pod grubą i łuskowatą skórą biegną liczne i szerokie naczynia krwionośne. Krew w szerokiej rurce, jaką jest naczynie krwionośne, płynie szybko i nie zdąży się wystudzić. Przy okazji warto wiedzieć, że normalna temperatura ciała ptaków jest dużo wyższa niż człowieka. Podczas gdy u nas 40° C to już groźna gorączka, to temperatura ciała ptaków mieści się między 40 a 45° C, czego nikt z ludzi by nie zniósł. Jednak utrzymanie tak wysokiej temperatury, szczególnie przy intensywnym chłodzeniu krwi w nogach zimą, wymaga dostarczenia dużej ilości energii w postaci pożywienia. I dlatego zima jest nie tyle groźna dla ptaków z powodu mrozu, co z braku pożywienia, a więc wszelkie dokarmianie w tym czasie jest ptakom bardzo pomocne.

Mimo wszystko nogi ptakom jednak marzną. Dlatego starają się one pływać lub stać tylko na jednej nodze, a drugą chowają wśród piór na brzuchu. Na lodzie kaczki chowają obie nogi w pióra i tak leżą na brzuchu. Ale tu pojawia się następny problem — pióra moczone w wodzie powinny przemoknąć i oblepić ptaka mokrym kompresem. I tak by się stało, np. z naszą poduszką. Tymczasem ptaki wodne wyglądają jak napompowane i unoszą się jak korek na powierzchni wody. Pióra ptaków wodnych maszczone są tłuszczem wydzielanym przez gruczoł kuprowy. Ptaki wodne dziobem często czeszą i układają swoje pióra. To jest właśnie czynność namaszczania ich tłuszczem. Dobrze namaszczone (natłuszczone) pióra są puchate, nie zlepiają się, a woda na nich zbiera się w krople i spada. Powstało nawet powiedzenie, że „woda spływa z czegoś jak po kaczce". Jeśli jednak tłuszczu lub innego podobnego smaru jest zanadto dużo, pióra zbijają się w gruzły (w pasma) i odsłaniają skórę. Woda wtedy przenika aż do skóry i ptak wkrótce ginie od wyziębienia. Niebezpieczeństwo dla ptaków przynoszą awarie tankowców na morzu lub wylewanie smarów i ropy naftowej wprost do rzek. Smary i ropa na powierzchni wody — to tzw. zaraza oliwna. Ptaki, nieświadome niebezpieczeństwa, wpływają na plamy olejowe i, usmarowane tłuszczem, ze zlepionymi piórami, giną od mrozu.

Tekst i fot. Wiktor Pawłowski

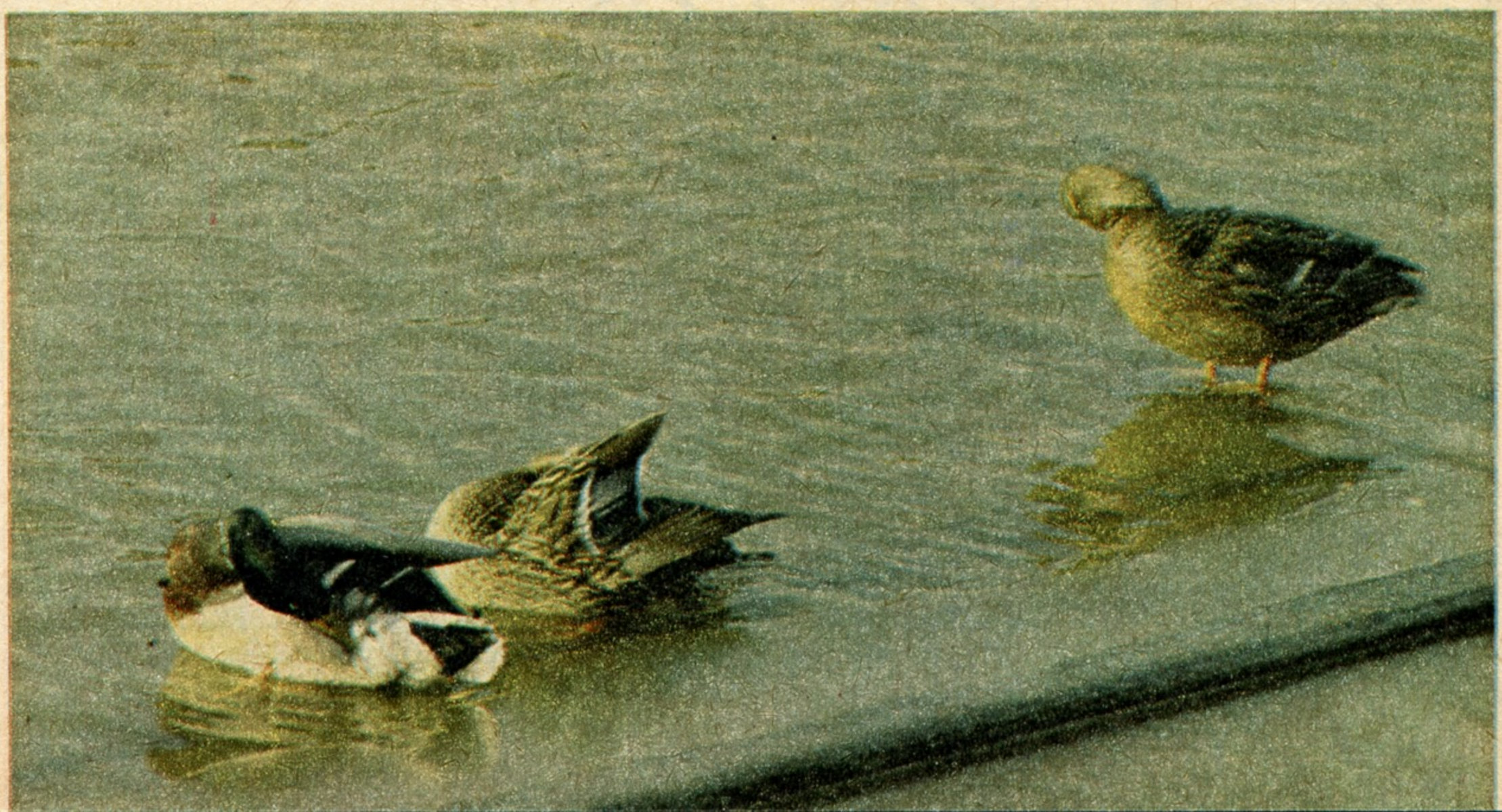

Anagram

Odgadnijcie nazwę przedmiotu rodzaju żeńskiego, a następnie z tej nazwy postarajcie się utworzyć wiele innych wyrazów. Można urządzić konkurs: kto w oznaczonym czasie napisze największą ilość nowych nazw.

LABIRYNT DLA CIERPLIWYCH

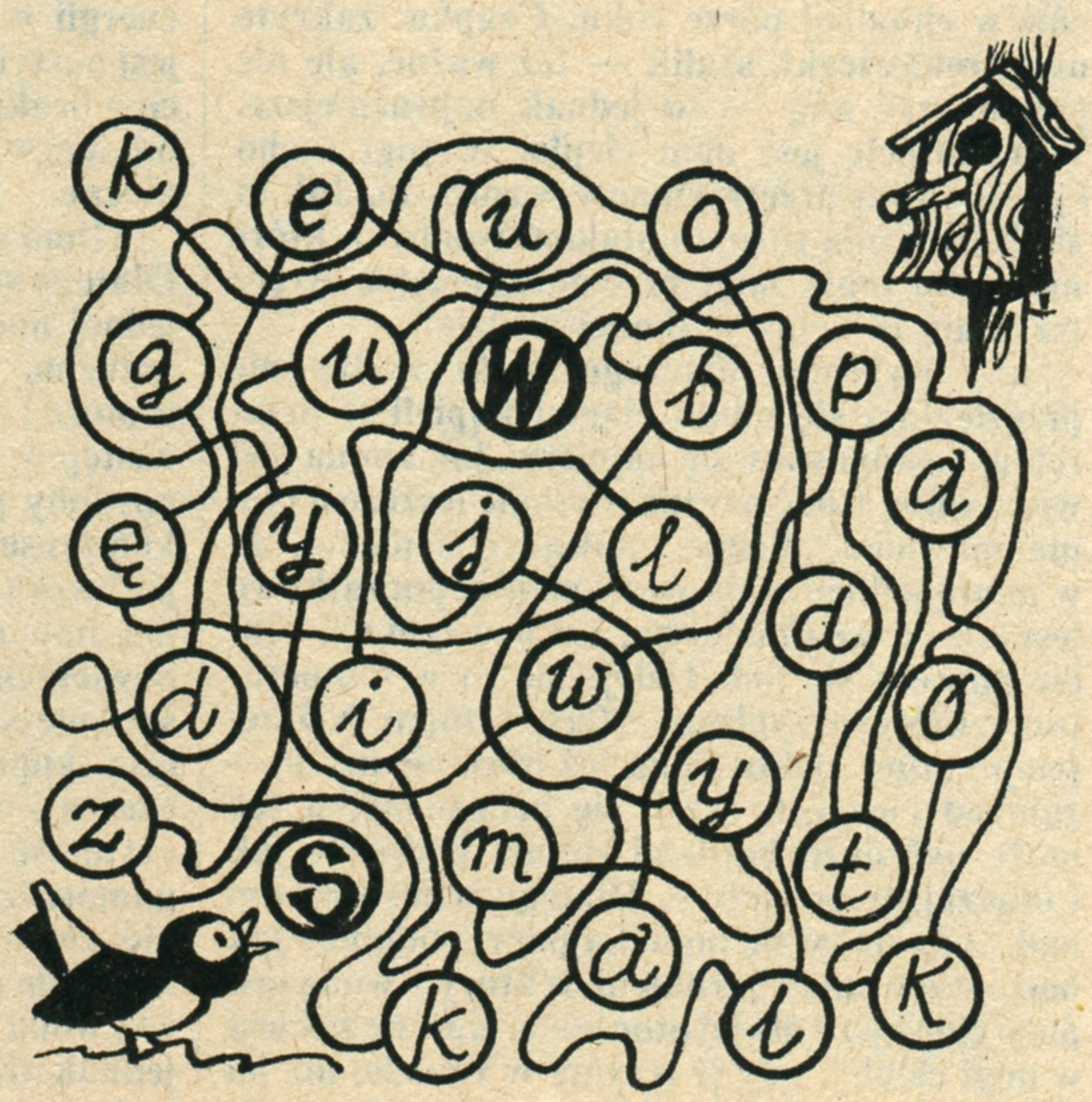

Odczytajcie hasło posuwając się od litery S do litery W.

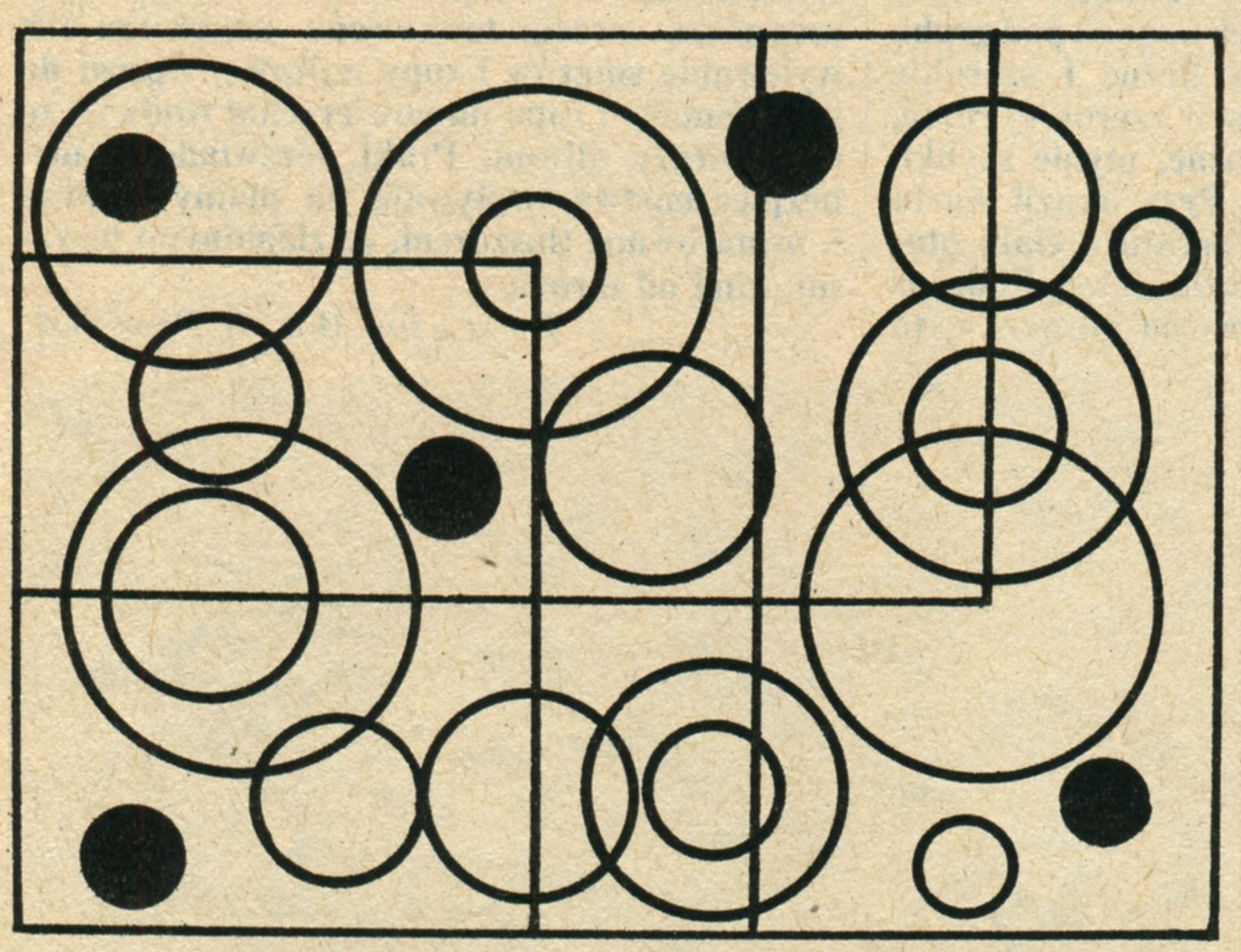

KTO POLICZY?

Obliczcie, ile kółek i ile prostokątów jest na tym rysunku?

Odpowiedź na FOTO-ZAGADKĘ ze str. 11

Przekrój przez pień drzewa

NASZ ZWIERZYNIEC

SKRZYDLICA

(Pterois volitans)

Piękną rybą jest skrzydlica, zamieszkująca przybrzeżne wody i laguny Oceanu Indyjskiego oraz Pacyfiku. Urody dodają jej szeroko wykształcone płetwy piersiowe, przypominające skrzydła, a także liczne wyrostki rozmieszczone wokół pyszczka. Jeden z nich sterczy na głowie, podobny do antenki, jaką mają rybki wabiące swe ofiary w ciemnych głębinach oceanów. Jednak antenka skrzydlicy nie świeci i nie zwabia innych zwierząt morskich, a przydana jest jej tylko dla ozdoby i maskowania się w wodnym środowisku raf koralowych. Tutaj skrzydlica „latając" jak ptak, jest prawie niezauważalna, gdyż ciało jej jest ubarwione jak otoczenie w jaskrawe plamki, prążki i paski, układające się w koliste szeregi i wzory bez śladu artystycznego bałaganu. Skrzydlica jest zwinna i agresywna. Musi być taka, gdyż jest żarłoczna. Ją samą niechętnie atakują większe ryby, gdyż jest zwierzęciem jadowitym. Jej kolec jadowy i gruczoł jadowy znajdują się u podstawy promieni płetwy grzbietowej, w miejscu, gdzie mogą sięgać uzębione paszcze drapieżników. Zadane kolcem rany są bolesne, goją się trudno. Nikt zatem skrzydlicy nie łowi dla zjedzenia, a tylko niekiedy dla jej ptasiej urody, co można podziwiać w akwarium.

Skrzydlica należy do licznej rodziny skorpenowatych. Należą do niej albo skorpeny, albo karmazyny.

Prawie wszystkie skorpeny są tak piękne, jak i jadowite. Trująca jest nie tylko wydzielina ich gruczołów jadowych, ale też śluz pokrywający cierniste promienie płetw. Skorpeny żyją w ciepłych, przybrzeżnych wodach Atlantyku i Pacyfiku, a nawet w Morzu Śródziemnym, gdzie mimo jadowitości są łowione, chociaż ich mięso jest średniej jakości.

Karmazyny mają nazwy gatunkowe nadane im od ubarwienia ciała lub od rejonów, gdzie żyją. Są karmazyny — szare, miedziane, czarne, półzłotki, niebieskie, żółtawe, glonowe, trawiaste, patagońskie, alaskańskie, kapskie i inne. Karmazyny nie są rybami jadowitymi, a mięso ich jest bardzo smaczne, chude i spożywane na surowo jak ogórki. Karmazyny zamieszkują głębokie przybrzeżne obszary zachodniego Pacyfiku i Atlantyku, dochodząc daleko na północ. Lubią też wody chłodne, nawet lodowate, dlatego też są żyworodne, w odróżnieniu od jajorodnych skorpen. Karmazyn glonowy, upodobniony kolorem do glonów morskich, może być symbolem lenistwa. Porusza się powoli, a gdy jest najedzony, odpoczywa leżąc na boku lub stojąc w pozycji pionowej, głową skierowaną w dół lub do góry.

Franciszek Kobryńczuk
Rys. Elżbieta Barcik

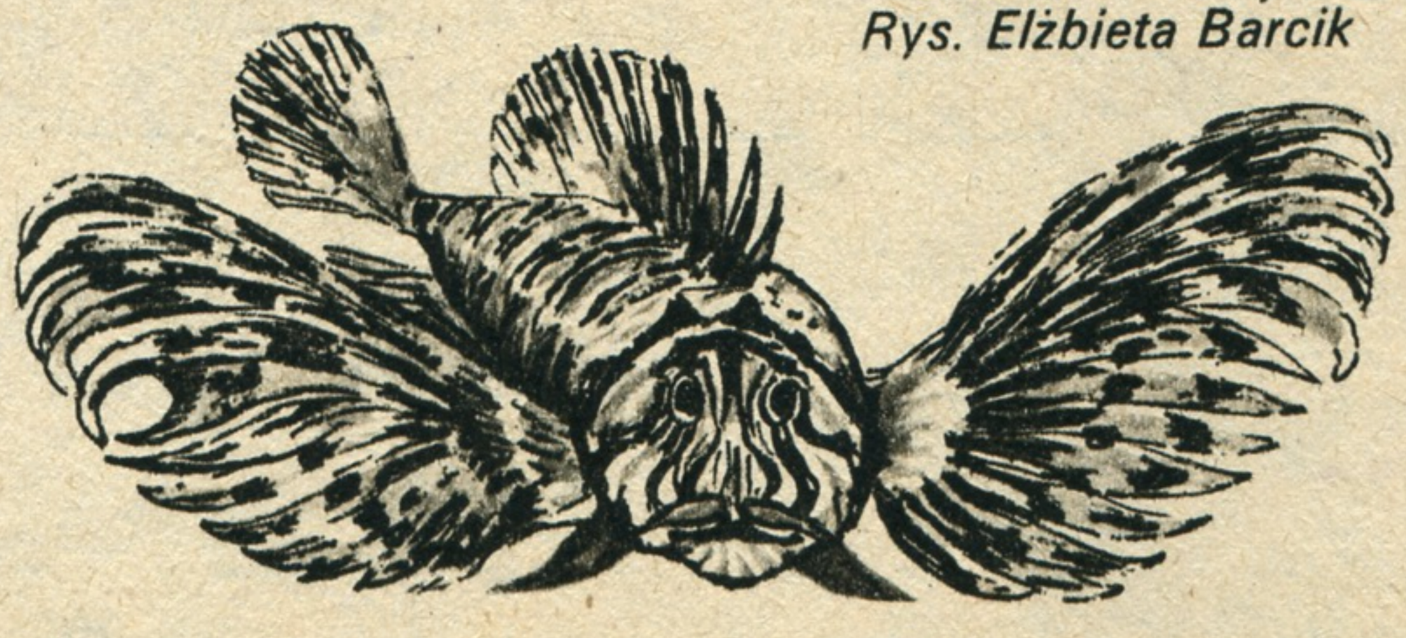

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY NA ROK 1989:
kwartalnie — 420 zł,
półrocznie — 840 zł,
rocznie — 1680 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Jadwiga Przeczek, Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (kierownik działu graficznego)

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Flisak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zbigniew Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietów wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO XV Oddział w Warszawie Nr 1658-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny:
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA, KRAKÓW, UL. WADOWICKA 8.
Papier rotogr. 70 g, rola 75 cm, kl. III.

Zam. 7182/89 0-9
Nakład 280.000 egz
ISSN 0137-8511

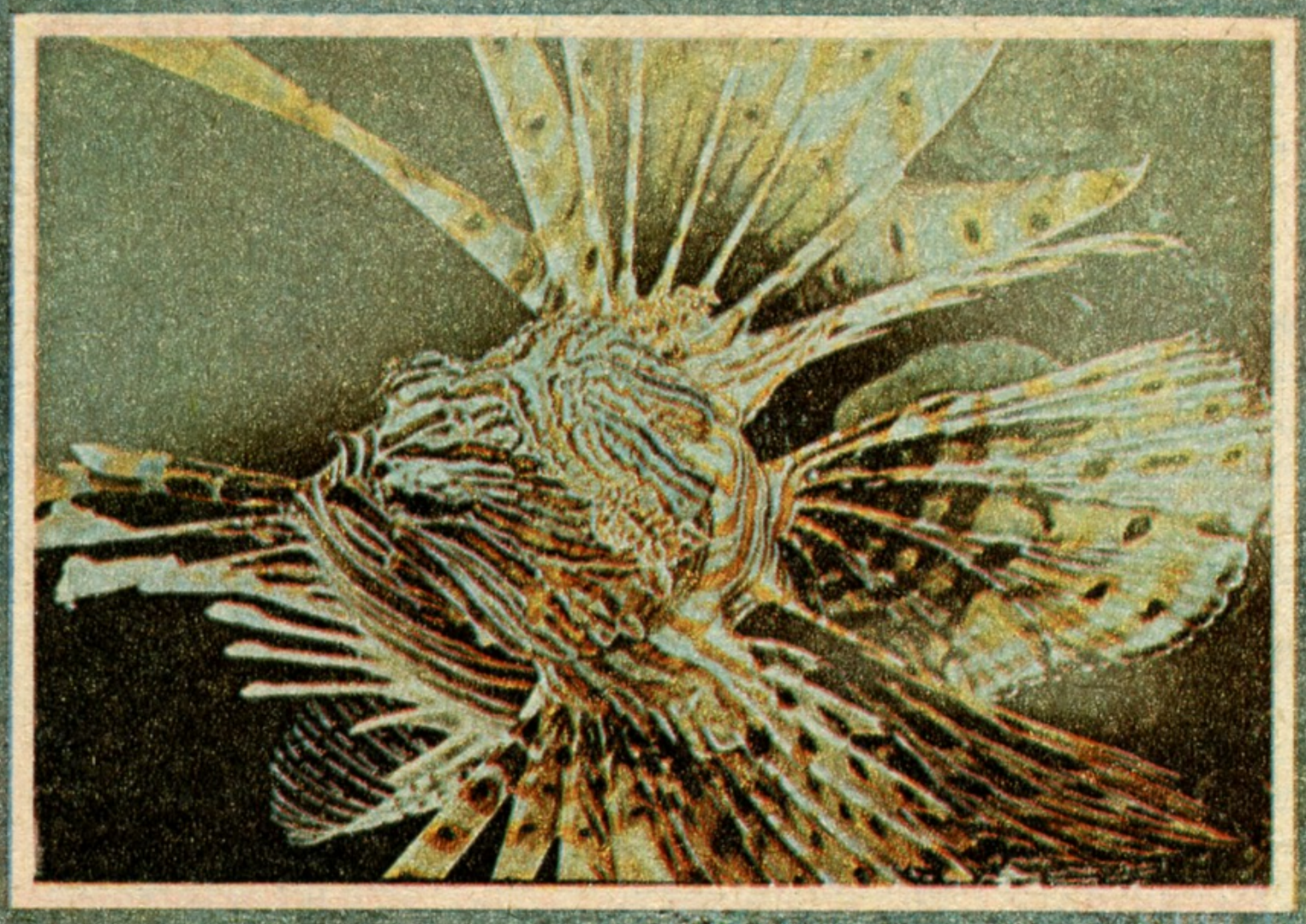

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

SKRZYDLICA

Fot. Michał Wlaziński *Rys. Elżbieta Barcik*

CENA 70 ZŁ